

Stefan Świszczowski, *Materiały do dziejów kolegiaty św. Małgorzaty w Nowym Sączu*. «Rocznik Sądecki», t. III, 1937 s. 1—85. PTH oddz. w Nowym Sączu.

Wydawnictwo składa się ze wstępu omawiającego głównie architektoniczną stronę kolegiaty oraz „przypisów”, pod którym to terminem wydawca rozumie właściwe materiały źródłowe. W ogóle terminologia naukowa w wielu artykułach «Rocznika Sądeckiego» odbiega od ogólnie przyjętej. Autorzy nie będąc dostatecznie odczytani w literaturze naukowej wysilają się na utworzenie własnej terminologii, co się im, rzecz jasna, nie bardzo udaje. Trzymając się „własnego rzemiosła” omawiam tylko „przypisy” pozostawiając sąd nad wstępem architektom i historykom sztuki.

„Przypisy” czyli właściwe wydawnictwo składają się z: a) dokumentu królowej Zofii z r. 1453; b) fragmentów dokumentu erekcyjnego Zbigniewa Oleśnickiego z r. 1448; c) fragmentów *Liber Beneficiorum* Jana Długosza; d) wyjątków z wizytacji biskupa Piotra Tylickiego z r. 1608, (przy czym wydawca nigdzie nie zaznacza, co opuścił i dlaczego); e) jakichś bliżej nie określonych przez wydawcę aktów zatytułowanych w nic nie mówiący sposób *Z archiwum b. kolegiaty w Nowym Sączu*, (*Acta actorum capituli?* luźne akta?); f) raportu inżyniera Muelera w sprawie odnowienia głównego ołtarza z r. 1837, w którym to raporcie wydawca opuścił niestety szczegółowy kosztorys; g) przedruku z pracy J. Sygańskiego; h) objaśnienia wyrazów rzadziej używanych w którym znajduje się szereg nieścisłości, np.: „erekcja — wzniesienie budynku, także rozpoczęcie budowy”, „Gmerk — herb mieszczański — znak używany zamiast podpisu” (?). Całość kończy 31 ciekawych szkiców i fotografii.

Na pierwszej stronie wstępu wydawca zapewnia, że „zebrany dotychczas dość obfity materiał uprawnia już do publikacji, gdyż stanowi jednolitą całość i może być spożytkowany dla historii architektury”.

Materiał zebrany przez wydawcę nie jest bynajmniej „dość obfity”. Z wyjątkiem fragmentów wizytacji biskupa Tylickiego i aktów kolegiaty wszystkie inne materiały są już od dawna znane i opublikowane.

(Sygański, *Historia N. Sącza*, t. III, s. 181 oraz *Liber Beneficiorum Długosza*, t. I). Wydawnictwo można było wielokrotnie pomnożyć dotąd nieznanymi materiałami, gdyby wydawca był należycie wykorzystał Archiwa: Metropolitalne i Kapitułne w Krakowie. Niestety, wydawca nie domyślił się, że materiałów do kolegiaty szukać należy przede wszystkim w archiwum biskupstwa, do którego kolegiata w przeszłości należała i oparł się po większej części na materiałach znajdujących się w Nowym Sączu i wydawnictwach. Z Archiwum Metropolitalnego w Krakowie wydawca wykorzystał jedynie wizytację biskupa Tylickiego z r. 1608, pomijając wcześniejszą wizytację kardynała Radziwiłła z r. 1596, a co gorsza, cały olbrzymi materiał znajdujący się w księgach sądowych, zaczynający się od początku XV w. Pomiął też zupełnie zbiory Archiwum Kapitułnego, a w szczególności kopiarz zawierający dokumenty kolegiat z diecezji krakowskiej, *Liber Relaxationum* z r. 1529 i późniejsze, oraz rękopis *Liber Beneficiorum Długosza*, na którym to rękopisie, a nie na przestarzałym i pełnym błędów wydaniu powinien był oprzeć swoje wydawnictwo. Dla porównania tego, co wydawca wydał a co mógł wydać, należy zestawzić i wydrukowany przez wydawcę dokument z r. 1453 z 24 dokumentami z XV w., których kopie znajdują się w Arch. Metropolitalnym, a które wydawca pominął.

Czy istotnie — jak twierdzi wydawca — opracowany przez niego materiał „może być spożytkowany dla historii”? Sądzę, że nie, gdyż wydawnictwo pozbawione jest zupełnie aparatu naukowego — w całym wydawnictwie nie ma ani jednego przypisu tekstowego lub rzeczowego. Brak także najbardziej prymitywnych objaśnień wydawcy dotyczących rękopisów, (oryginał? kopia? gdzie przechowywany?). Dokumenty nie posiadają, ani odpowiednich nagłówków, ani rozwiązywanych dat. Jeszcze bardziej uniemożliwia wykorzystanie wydawnictwa do celów naukowych ogromna ilość błędów wynikająca z niezajomości przez wydawcę pisma, języka i formy źródeł historycznych. W całym wydawnictwie nie ma też najmniejszych śladów, by wydawca zetknął się kiedyś z instrukcjami wydawniczymi. Wyliczenie wszystkich wypażeń i błędów wydawcy wymagałoby nie mniej pracy od opracowania nowego poprawnego wydawnictwa, dlatego ograniczę się do przykładów:

Dokument z r. 1453 wydawany z oryginału nosi nagłówek: *Akt w architeum probostwa w Nowym Sączu — z odpisu dokonanego przez ks. dr Wł. Smolonia*. Z takiego nagłówka oczywiście nikt nie może się dowiedzieć kto wystawił dokument, kiedy, w jakiej sprawie i jakie są wymiary oryginału. Nie spotykana nigdy w wydawnictwach źródłowych rzeczą jest podanie nazwiska kopisty. Miało to zapewne na celu jego wieczną chwałę u potomności, tymczasem nie ma się wcale czym chwalić. Wydrukowany tekst zawiera szereg błędów świadczących o zupełnej niezajomości najpospolitszych formuł dyplomatyki, np.

wydrukowano:	zamiast:
<i>tenere praesentium</i>	<i>tenore presencium</i>
<i>providimus Paulus</i>	<i>providus Paulus</i>
<i>villis precatis</i>	<i>villis pretactis</i>
<i>quanto praenominatis</i>	<i>quatenus prenominatis</i>
<i>benignitate nobis iuncta</i>	<i>benignitate nobis innata</i>
<i>in istis beneplacitos</i>	<i>in usus beneplacitos,</i>

Po skolekcjonowaniu tego krótkiego, około 1 stronę druku liczącego dokumentu z jego kopią znajdującą się w Archiwum Metropolitalnym, pominawszy odmianki wypływające być może z różnic między oryginałem a kopią, stwierdzono ogółem 19 błędów w odczytaniu + 42 błędy ortograficzne + 8 błędów w interpunkcji = 69 błędów na 1 stronie. Błędy ortograficzne polegają na zupełnie dowolnym użyciu wielkich i małych liter np. *sandeczensi*, *civitatis Consulibus*. Ponadto ortografia jest niepotrzebnie klasycyzowana i to tak gorliwie, że nawet słowo *quendam* pisane jest *quaendam*. Dla odmiany teksty polskie z XVIII w. drukuje wydawca z zachowaniem ówczesnej nieortograficznej pisowni, np. „*sandeckey*”, „*miejsee*” itp. Przecinków najczęściej brak — kropki w miejscach ku temu nieodpowiednich.

Dokument z r. 1453 nie jest bynajmniej pod względem ilości błędów przypadających na stronę druku jakimś nieszczęśliwym wyjątkiem. Po skolekcjonowaniu początku wizytacji biskupa Tylickiego od s. 44 do końca s. 54 stwierdzono: 17 błędów w odczytaniu, 32 błędy ortograficzne, 15 błędów w interpunkcji, 9 nie rozwiązanych skrótów oraz jedną błędną sygnaturę archiwalną — razem 74 błędy.

Po przeglądnięciu wydawnictwa można mieć wątpliwości, czy rację miał wydawca twierdząc, że w ten sposób zebrany i opracowany materiał uprawniał go do publikacji.

Ponieważ we wstępie redakcja «*Rocznika Sądeckiego*» oblicuje, że każda rzeczowa krytyka przyjmie z wdzięcznością, należy przeto jej radzić, aby do swego grona dokooptowała bodaj jedną osobę mającą pojęcie o wydawnictwach źródłowych, a jeżeli to będzie niemożliwe, konsultowała się w sprawach wydawniczych z Katedrą nauk pomocniczych historii i archiwistyki U. J.

Stanisław Kuraś

Mieczysław Walter, *Z dziejów polskości klasztoru cysterek w Trzebnicy w latach 1589—1741*. Wrocław 1957, nakładem Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, ss. 115.

Dr Mieczysław Walter, vědecký pracovník rukopisného oddělení Univerzitní knihovny ve Vratislavi a přední znalece jeho cenných fondů, vydal na podzim r. 1957 svou novou knihu, věnovanou polského živilu

v konventě řádu cisterciáček v Třebnici. Zpracoval ji s použitím archivního materiálu a rukopisů i s přihlédnutím k literatuře polské a německé; veškeré prameny i citaci z nich uvádí v 285 poznámkách. V úvodě (s. 5—7) zdůrazňuje autor skutečnost, že vývoj národnostních poměrů v trebnickém feodálním domě v l. 1589—1741 byl důsledkem polsko-habsburských a polsko-rakouských vztahů, jejichž součástí byly i protipolské snahy německých světských a církevních představitelů ve Slezsku. Právě studium pramenného materiálu umožnilo Dr. Walterowi vniknout do těchto poměrů a dospět k jiným závěrům, než jaké učinila jednostranná německá literatura, která přihlížela především k vnitřním poměrům kláštera, méně však k celkové situaci politické. Kromě rozporů, vyvolaných národnostními otázkami, byly v Třebnici i rozpory, způsobené třídním složením konventuálek; polské sestry byly totiž většinou šlechtického původu, kdežto konventuálky německé pocházely ponejvíce z vrstev nešlechtických, měšťanských. Tyto třídní rozpory se objevily poprvé v 2. polovině 17. stol. a vyvrcholily na počátku stol. 18., kdy v l. 1705—1706 se měla stát abatyší sestra nešlechtického původu, podporovaná řádovými představenými i světskými orgány.

První kapitola (s. 7—12) je věnována dějinám trebnického konventu v údobí od 13. do 16. století; konvent byl založen r. 1202 slezským knížetem Jindřichem Bradatým na radu jeho manželky sv. Hedviky a byl zprvu feodálním domem benediktinek. Jeho první sestry přišly v r. 1203 z kláštera benediktinek v Bamberku, avšak již r. 1218, kdy byl na generální kapitule přijat do svazku cisterciáckého řádu, byla v něm komunita cisterciáček. K dostavění konventní budovy a kostela došlo v r. 1219, kdy 25. srpna byly konsekrovány. V l. 1218—1220 patřil trebnický konvent pod jurisdikci opata konventu cisterciáků v Pforte v Sasku a od r. 1220 byl podřízen opatu v Lublitz. Řídily jej abatyše, které od jeho založení až do r. 1515 pocházely z polských šlechtických rodin, jeho konventuálkami byly sestry šlechtického a měšťanského původu. Domácí funkce tu byly jako v jiných ženských řádech: abatyší zastupovala převorka s podpřevorkou, o hospodářské záležitosti domu se starala cellaria, další funkce měly fenestraria, infirmaria, cameraria, refectoraria, magistra vini a pod. Novicky vedla magistra novitiarum, o sakristii pečovala sanctuaria a o zpěv a o recitaci v chóru měla péče cantrix. Mezi těmito sestrami byly mnohé polské národnosti, jako vůbec Polky se stávaly zdejšími konventuálkami. Siechtivny mezi sestrami byly ze Slezska i z Polska, kdežto sestry měšťanského původu pocházely jen ze Slezska.

O majetkových záležitostech trebnického konventu informují listiny z l. 1204 a urbár z r. 1410, který je nejlepším přehledem o rozsáhlém panství, k němuž patřilo několik desítek vesnic, často úplně polských a nezasažených německou kolonizací (na př. Domanowice, Brzyków, Szczytkowice, Świątniki, Raszów, Bierzyce, Łazy a jiné). Tento

majetek netvořil souvislé území, nýbrž se rozkládal v různých částech Slezska i Polska (obvody vratislavský, münsterberský, trebnický, olešnický, zlatohorský, frankenštejnský, schwiebuský a poznaňský). Z těchto vesnic pobíral konvent ročně 28 hřiven ročního důchodu; kromě toho různé osoby mu odkazovaly další platy, na př. v r. 1398 Jan Sokolowski půl hřivny ročního platu ve prospěch převorky, jiný dobrodinec 12 hřiven pro refektář, v r. 1401 Jan Świecnik též půl hřivny pro sakristánku, v r. 1415 Jan Krzykała a jeho manželka Markéta jednu hřivnu atd. Tak se stal trebnický feodální dům, jehož úkolem byla i výchova dcer z předních rodin (zde byla vychovávána i mladičká bl. Anežka Přemyslovna, jejíž sestra Anna byla provdána za Jindřicha Pobožného, syna Jindřicha Bradatého), významným činitelem hospodářského života.

Visitace v Třebnici prováděl opat z Lublitz, jenž byl jeho pater immediatus, konvent řídil jeden z lublitzských bratří, mající funkci jeho probošta (od r. 1267 zván též prokurátorem), o duchovní potřeby sester se staral zpovědník (confessor), rovněž konventuál z Lublitz; mnozí z těchto cisterciáků byli rovněž polské národnosti. Kromě piastovských kněží byli abatyšemi členky polských knížecích rodů z Hnězdna, Kalisze, Kujav, Poznaně a pod. Úřad abatyše zastávala též Gertruda, dcera Jindřicha Bradatého a jeho ženy sv. Hedviky (v l. 1218—1268); ta zažila v Třebnici i kanonizaci své matky r. 1267, zemřela v Třebnickém konventě v r. 1243. Tehdy nastal rozkvět trebnického domu, který r. 1250 založil i svůj pobočný konvent v Owini nad Vartou, jehož první představenou se stala sestra trebnického domu, sakristiánka Roslava. Z rodu zakladatele Třebnice pocházela i Anežka II. (abatyší byla v l. 1348—1362), kněžna bytomská a zaháňská, dcera Jindřicha IV. poznaňského. V době lučemburské a částečně i jagellonské vlády ve Slezsku byly abatyšemi Piastovny. V l. 1515—1598 se jimi staly sestry německé národnosti, rovněž ze šlechtických rodin; za dvou z nich, Kateřiny Mutschelnitzové (1560—1574) a Markéty Lützwitzové (1574—1589), došlo v důsledku pronikání luterství ve vnitřním životě Třebnice k některým výchylkám.

Druhá kapitola (s. 12—18) se zabývá šířením luterství ve Slezsku, která v 60. a 70. letech 16. stol. pronikla do celého slezského území. Dogmatické novoty byly brzy doprovázeny změnami společenskými a majetkovými; luterství bylo přijato dobrovolně feudály, kteří zabírali církevní majetek a zvěštovali tak svůj viastní, a měšťany větších měst, kdežto obyvatelé městeček a vesnic se stali jeho stoupenci většinou nedobrovolně, pod nátlakem knížat a šlechty. Důsledkem pronikání luterství byl také úpadek některých slezských domů, jejichž hospodářská situace se v té době značně zhoršila nebo jejichž členové, především německé národnosti, se stavěli kladně k novému směru (na př. premonstrátská kanonie ve Vratislavi, augustiniánská kanonie v Zaháně, cisterciácká opatství v Lublitz a Henrykowě). Také konvent

v Třebnici, ležící v knížectví olešnicko-ziembickém (jeho knížata z mladší větve Poděbradoviců se stali protestanty již v l. 1537—1538), byl těmito poměry zasažen; ze všech jeho kostelů zůstal katolickým pouze konventní kostel a do jeho komunity počalo vnikat luterství. Abatyše K. Mutschelnitzová byla r. 1562 obviněná ze styků se Schwenfeldovou sektou a ze zlého zacházení se sestrami; v pozdějších letech došlo i k odchodu některých německých konventuálek z kláštera. Těmito okolnostmi byl v Třebnici posílen polský prvek, takže postavení sester polské národnosti, jsoucích v 60. letech 16. stol. v menšině, se v 80. letech upevnilo a polské konventuálky dosáhly i různých domácích funkcí. Zásluhou polských konventuálek byla vnitřní krize překonána a polská část komunity nabývala stále na významu, zejména když se r. 1589 stala abatyší Polka Anna Jemiołowska, bývalá převorka.

Třetí kapitola (s. 18—31) se týká bojů o udržení polskosti z Třebnici na počátku katolické obnovy v l. 1580—1610. Vratislavský biskup Martin Gerstmann (1574—1585) byl první, který v té době byl nucen zasáhnout do neuspokojených poměrů třebnického domu. Polské konventuálky však v snažení tohoto biskupa, stranícího spíše německému živlu, nenašly dostatečnou pomoc a jejich oporou se stal až jeho nástupce, biskup Onfej Jerin (1585—1596), za kterého dostala německá abatyše v Třebnici koadjutorku. Když po smrti abatyše M. Lüttwitzové r. 1589 došlo k volbě nové představené, stala se jí A. Jemiołowska, kterou však císař odmítl uznat a nařídil novou volbu, z níž měla vyjít jako představená konventuálka německá. Zásluhou biskupa Jerina, opata v Lubiaž, olešnického knížete i polských sester v Třebnici bylo, že panovník byl nucen ustoupit a uznat zvolenou abatyši. Po celou dobu její vlády až do její smrti r. 1592 trvaly spory mezi německou a polskou částí komunity. Do volby další abatyše, konané až r. 1594, řídil konvent na přání císaře tříčlenný sbor, jehož členkami byly polské sestry, převorka Barbora Wtorkowska (pravděpodobně asi Tvorzkovská), administrátorka Beata Szlachcińska a sakristánka Ewa Pruszkowska. R. 1594 se německé straně podařilo prosadit za abatyši Sabinu Nassovou, šlechtického původu, která vedla Třebnici do své smrti v r. 1602; za ní boje o udržení polskosti Třebnice nabývaly vrcholu. Její nástupkyní se stala B. Wtorkovská, která však zemřela již r. 1603. Po ní byla zvolena r. 1603 Němka Marie Lucková, za níž nastal v německé komunitě úpadek největší; M. Lucková odstoupila část klášterního majetku svým příbuzným a sama se r. 1610 po přijetí luterství zřekla hodnosti abatyše, odešla z konventu a uzavřela manželství.

Čtvrtá kapitola (s. 32—63) je věnována vítězství polského živlu v Třebnici v l. 1610—1705. Po odchodu býv. abatyšemi se stávaly do r. 1741 polské konventuálky, které až na dvě (A. Pakosiławska a Z. Kopytlańska, rozené ve Slezsku), pocházely z Polska. K této skutečnosti přispěly i příbuzné vztahy mezi panovnickými rody rakouskými a pol-

skými. Konvent řídila v l. 1610—1640 abatyše Alžběta Pietrovska, za níž několikrát došlo událostmi třicetileté války k poškození konventního majetku i k ohrožení samotné Třebnice, také sestry byly nuceny v l. 1637—1642 pobývat ve Wyganově, kde též jejich abatyše zemřela. Po dva roky v l. 1640—1642, pro nemožnost nové volby řídila komunitu převorka; r. 1642 byla zvolena abatyši Barbora Bolkovská (zemř. 1652), v jejíž době žilo v Třebnici na 30 sester, z nichž jen několik málo bylo německé národnosti. Tehdy nastaly živé styky třebnického domu s polskými konventy, z odpovědníkem sester se stal Polák P. Kazimír z Pelpina a došlo i k obohacení domácí knihovny četnými polskými spisy (o třebnické knihovně srv. H. Szwejkowska, *Biblioteka klasztoru cysterek w Trzebnicy*, Wrocław 1955). Po tratičké vládě polské abatyše Anny Pakosiławské (1652—1653) se stala abatyši Dorota Bnińska (1653—1659), jejíž zásluhou byl upevněn pozemkový majetek patřící k Třebnici. V době švédského vpádu do Polska (1655—1660) působili v Třebnici i dva polští cisterciáci, P. Kašpar (od r. 1655) a P. Kazimír Jankowski (od r. 1656). Polská šlechta začínala mít zájem o Třebnici, do konventu vstupovaly četné kandidátky z Polska a polští poutníci přicházeli k hrobu sv. Hedviky.

Za abatyše Hedviky Magdaleny Pruszkowé, zvané Bieńiewské (1659—1674), došlo ze strany lubiažského opata o pokus uvést němecy živel do Třebnice (přijímání německých kandidátek nešlechtického původu, povinná znalost němčiny u polských sester a německá četba v re-fektáři). Tyto události se dotkly polských sester tak, že byly nuceny se obrátit o pomoc ke generálnímu opatu v Cîteaux. Přes značné potíže si však polský živel udržel vedení, takže na konci vlády abatyše H. M. Pruszkowé měl konvent mezi 31 sestrami pouze 4 Němky.

Mezi nejzasloužilejší polské abatyše patřila Kristina Kateřina z Vrbna Pavlovská (1674—1699), mající velké pochopení pro umění (její zásluhou na př. bylo pořízeno barokní mauzoleum sv. Hedviky), budování knihovny, upevnění hospodářských poměrů konventu, charitativní činnost i pro horlivou obranu polského živlu. V její době vystoupili jako oficiální ochránci Třebnice r. 1683 polský král Jan III. Sobieski a maršál polského Sejmu Rafael Leszczyński, kteří internovali svými listy ve prospěch polských sester u kardinála Pamphilia v Římě. Tato pomoc nejvyšších představitelů tehdejšího Polska konventu v Třebnici se zaslouží zvlášť pozornosti, protože nebyla dosud známa a k jejímu zjištění došlo na základě nově objeveného materiálu. Polský konvent v Třebnici se snažil všemi silami si udržet svůj polský ráz, i když snahou vedení cisterciáckého řádu, ať již generálního opata Bernarda z Krzeszowa (r. 1681), visitátora Ludvíka Baucha, opata v Lubiaž (od r. 1696) nebo dokonce generální kapituly konané v Cîteaux r. 1699, bylo posílit německý a zároveň nešlechtický živel v Třebnici co nejvíce na úkor Polek-šlechticů. Tyto protipolské snahy, chtějící přerušit úplně

styků Třebnice s cisterciáckými konventy v Polsku a přimknout je k německým cisterciáckým opatstvím ve Slezsku, nabyvaly síly za polské abatyše Kunhuty Zofie Kawecké (1699—1705) a vyvrcholily po její smrti v l. 1705—1706, kdy se její nástupkyně měla stát sestrou nešlechtického původu, podporovaná německými řádovými představenými a císařem.

Tuoto volbou se zabývá podrobně pátá kapitola (s. 63—104), zaměřená na vylíčení odvetných opatření císařem proti úsilí udržet polský život v Třebnici a na polskou protiakci v l. 1705—1741. Po velkých potížích se podařilo prosadit r. 1706 volbu polské sestry měšťanského původu, Zuzany Kopytlaňské (zemř. r. 1717), v jejíž době žilo v Třebnici 31 polských a 7 německých sester. Tyto paměry, tak neutěšené pro polské konventuálky, byly ovšem i v jiných řeholních domech ve Slezsku (na př. v. kanonii premonstrátek v Czarnowas), ovšem nebyly nikdy tě síly jako u třebnických cisterciáček. Takový stav byl důsledkem tehdejších habsbursko-polských vztahů, slabosti vlády Augusta II. i nezáměrných vedoucích polských činitelů o slezské otázky. Když r. 1710 nastal obrat ve vnitřních poměrech Polska (restaurace vlády Augusta II po porážce Karla XII, hlavního ochránce krále Stanislava Leszczyňského, jenž byl soupeřem Augusta II), začali se představitelé Polska zajímat i o poměry ve slezských konventech. Tak na př. generalní rada ve Varšvě, svolaná na 4. února 1710, se zabývala mezi jiným i otázkou klášterů ve Slezsku a věnovala pozornost i Třebnici. Tím byl vyvolán o Třebnici živý zájem i mezi polskou šlechtou, který byl vyjádřen jak v instrukcích, vzešlých z krajských sněmů, tak i v usnesení varšavské generalní v r. 1710. Toto i pozdější polská oficiální akce, kterou na vídeňském dvoře v l. 1713—1714 vedl biskup Kryštof Antonín Szembek, poradce Augusta II, právě tak další instrukce krajských sněmů, vydávané až do r. 1729, způsobily zmírnění germanizačního tlaku v třebnickém konventě a pomohly udržet jeho polský ráz. Za abatyše Zofie Biernacké (1717—1726) ze šlechtické rodiny udržoval konvent písemné styky s vedoucími osobnostmi Polska; r. 1724 bylo z 32 konventuálek 20 sester polských a 12 německých. Poslední polskou abatyší za habsburské vlády ve Slezsku se stala r. 1727 Zofie Koryciánská, rovněž šlechtična, řídící konvent do své smrti v r. 1741. V její době německá část komunity nabývala číselně převahy a r. 1741 bylo 11 sester polských a 15 německých.

Závěrem je podáno celkové shrnutí všech probraných otázek (s. 104—109), po němž následuje německé resumé (s. 109—115).

Knihy Dr. M. Waltera patří k pozoruhodným publikacím polské historické vědy současné doby; autoru se podařilo vniknout skutečně skvěle do velmi obtížného tematu, jehož zpracování si vyžaduje značných odborných vědomostí. Jeho nová práce, kterou je možno označit jako průkopnickou (přináší množství nových fakt z materiálu, autorem objeveného), se řadí k jeho ostatním knihám, majícím stejnou hodnotu.

Kromě poznatků ze studovaného tematu — národnostních otázek, obsahuje i cenné podrobnosti ze slezských dějin církevních a kulturních i zajímavé údaje o pronikání luterství na území Slezska a je zároveň příspěvkem ke slezsko-polským stykům.

Připomínám, že by bylo vhodné, kdyby autor byl otiskl jako přílohu přehled třebnických abatyší, případně i převorek, a kdyby na základě zápisů z generálních kapitul (zpřístupnil je v l. 1933—1941 ve své skvělé edici trapista Josef-Marie Canivez, *Statuta Capitulum generalium Ordinis Cisterciensis 1116—1786*) ukázal; jaký ohlas na nich vyvolaly události v Třebnici. Ty, kteří se budou knihou podrobněji zabývat, upozorňují na knížku *Trzebnica i okolice* (Varšava 1955), jejímž autorem je Tadeusz Broniewski; jde o praktického turistického průvodce o 36 stranách, obsahující vyobrazení části konventu v Třebnici i půdorys jeho kostela a ukazující architektonickou krásu tohoto kdysi významného slezského konventu, zaniklého za sekularisace v r. 1810.

Josef Svátek

Hanna Pohoska, *Wizytatorowie generalni Komisji Edukacji Narodowej*, Monografia z dziejów administracji szkolnej Komisji Edukacji Narodowej, wyd. Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, t. 45, Lublin 1957.

Obszerne, 351 stran liczące, dzieło Hanny Pohoskiej, znanej z przedwojennych studiów nad dziejami oświaty w epoce Oświecenia w Polsce i we Francji¹, ukazało się na półkach księgarskich w osiem lat po przygotowaniu go do druku, a w cztery lata po śmierci autorki jako „owoc piętnastoletnich studiów przygotowawczych oraz kilkuletnich wysiłków heurystycznych i konstrukcyjnych”².

W dotychczasowej literaturze naukowej podnoszącej znaczenie pracy wizytatorów generalnych, dzięki której dzieło przebudowy szkolnictwa w Polsce w 2. poł. XVIII wieku w myśl nowych postępowych założeń ówczesnej pedagogiki europejskiej mogło osiągać zadowalające wyniki, wiadano, że wizytatorzy generalni byli współtwórcami nowoczesnie pojętej administracji szkolnej u schyłku niepodległego bytu dawnej Rzeczypospolitej³. Dopiero jednak Pohoska, w oparciu o bogaty ma-

¹ H. Pohoska, *Sprawa oświaty ludu w dobie Komisji Edukacji Narodowej*, Kraków 1925; te jże, *Rewolucja szkolna we Francji*, Warszawa 1932.

² o. c., s. 6.

³ St. Kot, *Historia wychowania*, t. II, Lwów 1934, s. 47—124. A. Jobert, *La Commission d'Education Nationale en Pologne (1773—1794)*, *Son oeuvre d'instruction civique*, Paris 1941. Książka Joberta stanowi w dotychczasowej literaturze naukowej jedyne wszechstronne studium o KEN.

teriał archiwalny, obecnie w znacznej części dla nauki bezpowrotnie stracony, omówiła wszechstronnie ten ważny problem⁴. Dlatego też wyniki jej badań budzą zainteresowanie zarówno badacza dziejów oświaty jak i, w równej mierze, historyka państwa i prawa.

Praca Pohoskiej dzieli się na trzy wyraźnie zarysowane części. Pierwszą tworzą rozdziały: „Urząd wizytatora” oraz „Wizyty generalne, ich przebieg i sposób odbywania wizytacji”. Następną grupę problemów stanowi analiza organizacyjnej, dydaktycznej i wychowawczej działalności wizytatorów. Wreszcie w ostatnim rozdziale daje autorka dokładną charakterystykę poszczególnych osobistości czynnych w pracach wizytacyjnych, kończąc całość krótkimi wnioskami ogólnymi. Pracę zamykają dodatki (s. 291—335).

Z konieczności powołania jakiegoś organu pośredniego, który byłby łącznikiem pomiędzy Komisją Edukacji Narodowej, jako władzą centralną, a podległym jej kompetencji szkolnictwem, zdawano sobie sprawę już w początkowej fazie istnienia tego pierwszego w Europie Ministerstwa Oświaty. Na posiedzeniu KEN w dniu 6 V 1774 r. zebrani komisarze postanowili przystąpić do wizytacji szkół sami, bądź też za pośrednictwem odpowiednio kwalifikowanych substytutów. Instrukcja uchwalona w kilka tygodni później precyzowała cel i charakter podjętych wizytacji. Szczególny nacisk położono w niej na sprawy administracyjno-organizacyjne. Tendencja ta wynikała przede wszystkim z konieczności zabezpieczenia szkołom pojezuickim odpowiedniego uposażenia materialnego. Chodziło również o możliwie szybkie zaprowadzenie porządku w tych szkołach, zdeorganizowanych kasatą Towarzystwa Jezusowego w Rzeczypospolitej. Szczególnie na odcinku finansowo-gospodarczym sytuacja kształtowała się niepomysłnie.

Moment ten nie znalazł, jak się zdaje, należytego uwypuklenia w omawianej pracy. Przeciwnie przywódcy sejmu 1773 r. z osławionym Ponińskim na czele, zajęli się tak skwapliwie realizacją papieskiego breve *Dominus ac Redemptor Noster* (z 21 VII 1773 r.), gdyż liczyli na sute obłowienie się rozmaitym intratą. Wyznaczeni przez sejm lustratorowie nie dostarczali szkołom potrzebnych funduszy. Powołanie od 14 III 1774 r. Komisji Rozdawniczych w Koronie i Litwie oraz utworzenie Komisji Sądowych (jednych i drugich niezależnych od KEN) nie zmieniło sprawy na lepsze. W ciągu dwu lat zdołano uszczuplić wartość pojezuickiego majątku o ok. 13 mil. złp. Fakty te musiały niewątpliwie hamować prawidłowe funkcjonowanie szkolnictwa, a tym samym nastęrcząły

⁴ Wydane ostatnio prace K. Mrozowskiej, *Walka o nauczycieli świeckich w dobie Komisji Edukacji Narodowej na terenie Korony*, Wrocław 1956 i M. Chamicó wnej, *Uniwersytet Jagielloński w dobie Komisji Edukacji Narodowej*, Wrocław—Warszawa 1957, zawierają szereg uzupełnień omawianego przez Pohoską tematu.

sporo kłopotów kontrolerom szkół z ramienia KEN. I o tym należało powiedzieć nieco szerzej.

Sytuacja uległa zmianie od chwili wydania przez sejm 22 X 1776 r. konstytucji, która likwiduje zarówno Komisje Rozdawnicze jak i Sądowe, przekazywała KEN pełnię władzy nad szkolnictwem. Rok 1776 był zatem, według trafnego spostrzeżenia Pohoskiej, ważną datą w dziejach wizytacji. Odtąd obok członków KEN i ich substytutów ruszali na kontrolę szkół także nominowani przez KEN specjaliści wizytatorowie, zaś nowa instrukcja z 30 V 1777 r. (w odróżnieniu od poprzedniej z r. 1774) poświęcała znacznie więcej uwagi sprawom dydaktyczno-wychowawczym.

Dalszym krokiem naprzód było uchwalenie przez KEN jednolitego prawa szkolnego pod nazwą „Ustawy Komisji Edukacji Narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane”. Czwarty rozdział Ustawy „Wizyta zgromadzeń akademickich i szkół narodowych”, stwarzał nowe podstawy prawne dla działalności wizytacyjnej. Od roku 1782 aż do chwili wybuchu insurekcji w 1794 r., rok rocznie wizytatorzy generalni odbywali 3 miesięczne podróże inspekcyjne po wyznaczonych im okregach szkolnych. Wizytatorów powoływała początkowo KEN, zaś od r. 1784 wybór przeszedł na szkoły Główne (Akademie) w Krakowie i Wilnie. Od tego też czasu siabnie bezpośredni zwiazek wizytatorów z KEN. Współpracują oni silniej z Akademiami oraz Towarzystwem do Ksiąg Elementarnych, podległych zresztą KEN.

W świetle „Ustaw” uprawnienia wizytatorów wzrosły bardzo poważnie. M. in. mieli oni nadzorować nie tylko szkoły zawisłe od KEN, lecz także zakłady prowadzone przez rozmaite zakony. Wprawdzie prawo wizytowania szkół tego typu przysługiwało KEN od r. 1774, niemniej wówczas podstawę prawną stanowił list cyrkularny nuncjusza apostolskiego w Warszawie. Z chwilą wydania „Ustaw” KEN nie musiała szukać już jego aprobaty, działając na własną rękę.

Trzymiesięczny okres wizytacji okazał się zdaniem członków KEN i profesorów Szkoły Głównej Koronnej niewystarczającym. Dlatego też planowano przedłużyć okres wizyt generalnych na przeciąg całego roku szkolnego. Projekt ten jednak upadł.

Lata sejmu czteroletniego były okresem wytężonej pracy także w zakresie organizacji szkolnictwa. Postulowano poszerzyć kompetencje KEN także i na szkoły kształcące duchownych. W praktyce jednak te i inne zamierzenia nie zostały urzeczywistnione, zaś nowe wydanie „Ustaw” w roku 1790 nie wprowadziło żadnych istotnych zmian. Wojna roku 1792 zastała wizytatorów generalnych na posterunku. Pohoska ukazuje ich pracę w ciężkich warunkach, niekiedy na terenach objętych działaniami wojennymi. Okres rządów Targowicy i Grodna nie

zdołał zlikwidować KEN. Mimo szeregu zmian i ograniczeń Komisja działała w dalszym ciągu, planując kontynuację prac wizytatorskich.

Pisząc o insurekcji 1794 r. Pohoska stwierdza, że Wydział Instrukcji w Radzie Najwyższej Narodowej nie opracował żadnego planu wizytacji. Stwierdzenie to zbyt lakoniczne wymagałoby pewnego uzupełnienia. Warto byłoby przypomnieć czytelnikowi, że insurekcja likwidując KEN przerzuciła z czasem jej funkcje na Wydział Instrukcji w RNN. Wydział ten zajął się przede wszystkim stworzeniem materialnych podstaw istniejącego szkolnictwa. Co więcej dnia 5 lipca 1794 r. zwrócił się do wszystkich komisji porządkowych koronnych jak i Deputacji Centralnej Wielkiego Księstwa Litewskiego o informacje, ile w danym okręgu jest szkół, konwiktów i innych zakładów. Prosił również władze lokalne o nadsyłanie wniosków w zakresie spraw oświatowych. Wysiłki te wskazują, że Wydział Instrukcji podjął sui generis akcję wizytacyjną. Nie musiał jednak posługiwać się odrębnymi wizytatorami, gdyż funkcje ich przejęli w pewnym sensie zarówno komisarze z Wydziałów Instrukcji poszczególnych komisji porządkowych jak i podlegli im dozorczy oraz nauczyciele w dozorach. Sytuacja administracji szkolnej w roku 1794 wyglądała bowiem odmiennie niż za czasów sejmku wielkiego. Wówczas to KEN korzystała jedynie z pomocy komisji porządkowych cywilno-wojskowych, którym obowiązujące przepisy powierzały nadzór administracyjny nad szkołkami parafialnymi.

O tym, że wizytatorzy generalni byli nie tylko organem wykonawczym, lecz także i czynnikiem opiniotwórczym Komisji Edukacji Narodowej, czytelnik dowiadywa się szczegółowo z rozdziałów III — V. Na polu administracyjno-gospodarczym, dydaktycznym jak i wychowawczym wykazywali oni wiele inicjatywy służąc zawsze radą i pomocą wszędzie tam, gdzie się zjawiali. Nie sposób omówić w ramach niniejszych uwag całokształtu bogatej problematyki związanej z działalnością wizytatorów. Warto jednak zwrócić uwagę na parę interesujących szczegółów. Na plan pierwszy wysuwa się sprawa oceny szkół jak i poziom przygotowania uczniów. Realizacja programu zaleconego przez Komisję Edukacji Narodowej napotykała na szereg trudności, przede wszystkim z powodu braku odpowiednich podręczników. Niemniej poważną przeszkodą było niedostateczne przygotowanie nauczycieli, którzy wielokrotnie, jak to wynika z przytoczonych przez Pohoską danych, sami nie znali przedmiotów, które mieli wykładać. Jest rzeczą ciekawą, że wizytatorzy generalni, ekszejuści, bądź też przeważnie księża świeccy, zwalczały niewłaściwe metody nauczania oparte na nadużywaniu autorytetu wiary i kultu religijnego. Np., że nauczyciel wykładający fizykę „całe swoje twierdzenie nie na fizycznych dowodach, ale na Piśmie Świętym zakładał”, nie należy w sprawozdaniach wizytatorów do rzadkości. W pewnej szkole zwracano uwagę, że tema-

tyka ćwiczeń zadawanych uczniom jest „bardziej zakonna niż obywatelska”. Równocześnie jednak nie szczędzono słów nagany w tych przypadkach, gdy system nauczania wykraczał przeciw zasadom religii. W zakresie nauk eksperymentalnych wizytatorzy pochwalali stosowanie doświadczeń i prowadzenie praktycznych obserwacji rozmaitych zjawisk przyrodniczych. Zwracali również uwagę na potrzebę stosowania nowatorskich metod nauczania, duży nacisk kładli na zagadnienie nauk moralnych, do których zaliczano prawo, politykę i ekonomikę.

Obok braku podręczników i nieuctwa nauczycieli poważną przeszkodą w wprowadzaniu w życie zaleceń KEN była wroga postawa pewnego odłamu nauczycieli. Ciekawą formę tej walki ukazuje Pohoska na przykładzie szkół, które będąc formalnie parafialnymi, stanowiły w istocie „zakonspirowane” szkoły średnie, w których część niechętnego KEN duchowieństwa zakonnego uczyła według dawnych metod wysoko cenionych przez wielu ziemian.

Mówiąc o liczebności wizytowanych szkółek parafialnych autorka stwierdza, że cały ich szereg istniał, nie będąc nigdzie oficjalnie „zarejestrowanym”, a co więcej, że uczono w nich według wskazówek KEN (s. 143). Na podstawie przebadanych źródeł Pohoska przypuszcza, że w latach 1773—1794 istniało na ziemiach polskich rocznie ok. 1000 szkół parafialnych. Spostrzeżenie to stanowi bardzo ważne uzupełnienie stanu badań w tym przedmiocie².

Sprawozdania wizytatorów zawierają sporo danych dotyczących oceny szkół z wychowawczego punktu widzenia. Ten odcinek prac wizytacyjnych nastroczał sporo kłopotów. W wielu szkołach trzeba było w drodze dyscyplinarnej powściągnąć panujące nieporządky. Źródła ich były wielorakie. Ważnie w gronie nauczającym lub gorszące zachowanie się jego członków, bądź też awantury wywoływane przez uczniów a skierowane przeciwko Żydom, palestrantom, czy też władzom szkolnym. Abstrahując jednak od jaskrawych wykroczeń przeciwko obywatelom ze strony zarówno nauczycieli jak i uczniów, zwrócić należy uwagę na starania wizytatorów, by w szkołach panowała atmosfera sprzyjająca wychowaniu uczniów na świadomych swych zadań obywateli Rzeczypospolitej. W związku z tym należy traktować sprawę przysposobienia wojskowego w szkołach. Było ono problemem pierwszorzędym szczególnie w czasie obrad sejmku wielkiego, kiedy auka wojaka zajmowała wiele miejsca w dyskusjach politycznych.

Ogólna klasyfikacja szkół przeprowadzona na podstawie ocen wizytatorów, wskazuje na wyższy poziom szkół akademickich i większości pijarskich nad pozostałą resztą prowadzoną przez rozmaite zakony.

W rozdziale ostatnim zajmuje się Pohoska szczegółową charaktery-

² Kot, o. c., s. 104.

styką 45 osób związanych z pracami wizytacyjnymi szkół na przestrzeni lat 1774—1794. Autorka wyodrębnia kilka grup wizytatorów, wśród których występują trzy zasadnicze: a) komisarzy KEN, b) wizytatorów generalnych oraz c) ich substytutów. Rozdział ten oparty, podobnie jak i całość pracy, na obfitym materiale źródłowym ma obok swej wartości naukowej także jedną dodatkową zaletę. Może stać się punktem wyjścia do nakreślenia sylwetek biograficznych wymienionych w nim osób.

W „Zamknięciu” omawia autorka bardzo ogólnie rolę prac wizytatorskich.

Integralną część pracy stanowi jedenaście, ujętych w formę tabel, szczegółowych zestawień danych związanych z działalnością wizytatorów rozmaitych typów.

Przystępując do sformułowania oceny ogólnej omawianego dzieła należy uwypuklić przede wszystkim rzetelność naukową nakreślonego w nim obrazu. W pracy Pohoskiej nie ma sądów, które nie byłyby oparte o bogaty materiał dokumentacyjny. Operując swobodnie źródłami, autorka jest jednak bardzo ostrożną w formułowaniu uogólnień. W związku z tym razi niekiedy zbyt może słabe podkreślanie roli pewnych faktów. Mam tu np. na myśli początkowe dzieje wizytacji, kiedy na polu szkolnictwa panowało zamieszanie wywołane kasatą zakonu jezuitów i rabunkową gospodarką finansową. O sprawach tych zresztą mówiłem już wyżej.

Pohoska jest autorem bardzo sumiennym. Ilekroć sama ma pewne wątpliwości w sposobie ujęcia, czy ocenie pewnych faktów, zawsze wyraźnie o tym wspomina (np. s. 129, 169). Podkreśla szereg zagadnień czekających jeszcze na opracowanie (np. historia projektu założenia uniwersytetu w Warszawie w latach 1773—74, czy problem w jakiej mierze drugie wydanie „Ustaw” z roku 1790 oraz dalsze projekty reform stanowiły wynik spostrzeżeń wizytatorskich).

Do pewnych niedociągnięć pracy zaliczyłbym zbyt lakoniczne wnioski ogólne wypowiedziane w „Zamknięciu”. Należałoby je ująć szerzej, przenosząc do tej części wykładu szereg ustaleń poczynionych wcześniej, (np. periodyzację dziejów urzędu wizytatorskiego — s. 72, czy też charakterystykę stosunku opinii publicznej do szkoły nowego typu — s. 240). Niedostatkami jest również brak mapy podróży wizytacyjnych oraz indeksów rzeczowego, osobowego, a także miejscowości. Dodatki te ułatwiłyby czytelnikowi w bardzo poważnym stopniu korzystanie z bogactwa szczegółów zawartych w omawianej książce. Zastrzeżenia budzą niekiedy także i sprawy drobniejsze. Dlaczego np. na s. 89 po słowie „Postawy” znalazł się wykrzyknik wskazujący zapewne na wątpliwą lekcję tego słowa, zaś na s. 91 występuje ta sama miejscowość bez wykrzyknika? Na s. 118 i 119 mamy podobną sytuację z nazwiskiem Brzoźnińskiego, który jest prawdopodobnie identyczny z wy-

mienionym dalej Broszniewskim. W powyższych wypadkach należałoby niejasności rozwiązywać w notce. Czy nie należałoby pewnych wyrazów bardziej niezrozumiałych zaopatrzyć krótkim wyjaśnieniem (np. na s. 210 wyraz „kuszeczki”) Niekiedy autorka daje takie wyjaśnienia w tekście (s. 215). Drobne usterki można by wytknąć nie zawsze dokładnie przeprowadzonej korekcie (przypuszczenia hipoteczne — s. 74).

W sumie pracę Pohoskiej należy ocenić bardzo dodatnio jako udaną próbę przedstawienia problemu wizytacji szkół w jego dynamicznym rozwoju. W literaturze powojennej omawiana książka jest poważnym krokiem naprzód na polu poznania historii Komisji Edukacji Narodowej, o której jeden ze współczesnych słusznie napisał, że była „szczególnym zaszczytem ... panowania Stanisława Augusta”⁶.

Wojciech Bartel

Ks. Walenty Michulka, **Książd Bronisław Markiewicz**, Londyn 1954, ss. 341.

Praca ks. W. Michulki jest pierwszą obszerniejszą biografią polskiego wychowawcy najbiedniejszych, ks. Bronisława Markiewicza. Drobne artykuły, referaty lub broszury ks. S. P. Maciątki, ks. Wład. Staicha, ks. Wal. Chroboka, Sas-Zubrzyckiego, Józefa Beka, ks. Jana Góreckiego, B. Grocha, ks. B. Sławińskiego, ks. Wład. Janowicza, W. Lutosławskiego, Józefa Pietrzaka, ks. W. Pilszaka, ks. Władysława Sarny, Franciszka Sypowskiego, ks. Ant. Sobczaka, ks. Stan. Szpetnara, ks. H. Weryńskiego, O. Konst. Żukiewicza, naświetlały tylko pewne aspekty dzieła ks. Markiewicza, lub były przypomnieniem o ciągłej aktualności jego ideałów.

Bronisław Markiewicz urodził się dnia 13 VII 1842 r. w Pruchniku, w Małopolsce, jako szóste z jedenastorga dzieci średnio zamożnych rodziców. Po ukończeniu szkoły elementarnej w mieście rodzinnym uczęszczał do gimnazjum w Przemyślu. W tym czasie przeżywał chwilowy kryzys światopoglądowy, z którego jednak wyszedł zwycięsko. Decydującą rolę w wyborze przyszłego kierunku życia przypisywał Markiewicz tajemniczemu chłopcu, który się wtedy pojawił w Przemyślu. Chłopiec ów, obdarzony zdolnością widzenia rzeczy przyszłych, przepowiedział między innymi przyszłą działalność Markiewicza. Wkrótce po spotkaniu z tajemniczym chłopcem wstąpił Markiewicz do Seminarium Duch. w Przemyślu. Wyświęcony na kapłana (15 IX 1867) pracował jako wikariusz po trzy lata, najpierw w Harcie, a następnie przy katedrze w Przemyślu. Pracował ofiarnie w konfesjonale, na ambonie, wśród więźniów, katechizował i często udawał się z posługą duchową

⁶ W. Skrzetuski, *Prawo polityczne narodu polskiego*, t. II, Warszawa 1787, s. 283 D.

do pobliskich wiosek. Przerwał pracę duszpasterską, studiując dwa lata filozofię na uniwersytetach we Lwowie i Krakowie, — następnie powrócił do pracy w parafii. Kolejnymi placówkami, gdzie pracował jako proboszcz, to parafie: Gać koło Przeworska i Białowa. Jako wytrawny praktyk w dziedzinie duszpasterskiej został niespodziewanie mianowany profesorem teologii pastoralnej w Sem. Przemyskim (1882—86). Z tego okresu pochodzi praca *O wymowie kaznodziejskiej* (wyd. 1898). Po kilku latach pracy profesorskiej w Seminarium przerwał wykłady i udał się do Włoch z zamiarem wstąpienia do teatynów. Stało się jednak inaczej. Zaprzyjaźniwszy się z Janem Bosko wstąpił do założonego przez niego Zgromadzenia Salezjanów. Pracował jako wykładowca w kolegium salezjańskim, jako wychowawca młodzieży i spowiednik siostr w kilku domach salezjańskich, — przede wszystkim jednak starał się przeszerścić nowe zgromadzenie na grunt polski. Usiłowania te jednak spełziły na niczym. Ostatecznie powrócił sam do kraju i osiadł jako proboszcz w Miejscu Piastowym w pow. krośnieńskim (r. 1892). Zaraz po przyjeździe na nowe miejsce realizując swoje plany począł roztaczać opiekę nad opuszczoną młodzieżą. Pierwszym swym wychowankom dawał schronienie na plebanii. Z czasem jednak, gdy liczba ich wzrosła, trzeba było pomyśleć o nowym pomieszczeniu oraz określonej formie wychowawczej i organizacyjnej. Jeżeli chodzi o pomieszczenie chłopców Markiewicz uporządkował się w ten sposób, że wybudował nową plebanie, a starą im oddał. W sposobie zaś wychowania i organizacji wzorował się na zakładach założonych przez św. Jana Bosko we Włoszech. Wśród wychowanków można było wyróżnić dwie grupy. Jedni, którzy przyszli po to, by otrzymać wychowanie, nauczyć się zawodu, by potem móc żyć samodzielnie, inni z wyraźnym zamiarem poświęcenia się w przyszłości pracy wychowawczej jako członkowie nowego zgromadzenia. Dzieło ks. Markiewicza napotykało jednak na poważne trudności. Pierwsza, to brak środków materialnych. Zakład nie miał żadnych dochodów, żadnej fundacji, żył jedynie z łaskawości parafian, a później z własnej pracy. Dlatego też warunki bytowe były nader skromne, graniczące nawet ze skrajnym ubóstwem. Tym, co trzymało wszystkich w jedności i zgodzie i kazało wytrwać, był duch Boży, który wszystkich ożywiał. Innej natury były trudności dotyczące legalizacji nowej organizacji u władz świeckich i kościelnych. U władz rządowych otrzymał zatwierdzenie dla organizacji świeckiej, wychowującej młodzież opuszczoną. W tym wypadku i władze kościelne nie czyniły trudności. Lecz gdy chodziło o zatwierdzenie nowego zgromadzenia zakonnego, na szczególnie twardy opór napotykał Markiewicz u władz kościelnych w osobie biskupa Pelczara. Wcześniej jeszcze doszło do poróżnienia między ks. Markiewiczem a Turynem — Centrum Zgromadzenia Salezjańskiego. Salezjanie włoscy nie znając stosunków polskich, chcieli koniecznie narzucić sposób i metodę pracy wychowawczej, stosowaną we Włoszech. Nadto ks. Markiewicz

był gorącym patriotą, myślącym o zbawieniu pod kątem potrzeb narodowych, polskich. Wynikiem tej różnicy zdań było całkowite zerwanie z Turynem (1898). Markiewicz dążył do założenia nowego zgromadzenia opartego na pierwotnej regule św. Jana Bosko, niezależnego od salezjanów. Zatwierdzenie tego zgromadzenia miało przyjść dopiero po śmierci założyciela. Tymczasem starania, które nie dawały żadnych wyników, wyczerpywały go i hamowały rozwój całego dzieła. Mimo piętrzących się trudności rozbudowywał swój zakład, przyjmował nowych wychowanków korzystając z legalizacji rządowej swego towarzystwa, noszącego nazwę „Powściągliwość i Praca”. Pod tym samym tytułem redagował czasopismo o charakterze społeczno-religijnym. Jak bardzo aktualną była myśl opieki nad młodzieżą opuszczoną i założone w tym celu towarzystwo świadczy fakt, że poza granicami Małopolski powstawały podobne zakłady i że w jednym z nich oddano kierownictwo wychowankom ks. Markiewicza. Podobny też zakład otworzyło samo towarzystwo w Pawlikowicach niedaleko Krakowa. Obok zgromadzenia męskiego zamierzał ks. Markiewicz założyć podobne zgromadzenie siostr. Zgromadził kilka pobożnych i oddanych pięknemu dziełu niewiast, był ich kierownikiem duchowym. Wytyczył im sposób życia, a w kurii biskupiej zabiegał o zatwierdzenie nowego zgromadzenia. Niestety nie przyszło ono rychło, a mała gromadka stanęła wobec podobnie ciężkich doświadczeń co zgromadzenie męskie. Mimo nawału zajęć i trudności Markiewicz pozostał do końca życia spokojny, oddany pracy dla najbardziej potrzebujących, ufny w zwycięstwo swojej idei. Ta postawa duchowa była wynikiem głębokiego zjednoczenia z Bogiem. Pracując dosłownie do ostatnich chwil życia zmarł w opinii świętości dnia 29 stycznia 1912 roku w Miejscu Piastowym.

Praca ks. Michulki nie ma charakteru pracy ściśle naukowej. I inny cel przyświecał autorowi. Píše on na s. 55: „Zyciorys niniejszy przeznaczony jest głównie dla młodszej generacji zgromadzeń zakonnych, którym ks. B. Markiewicz dał początek, oraz dla tych warstw społeczeństwa, które dotąd mało wiedzą o tym nierwykłym kapłanie, o jego ofiarnej miłości dla Boga i ludzi, o jego gorącym i czynnym patriotyzmie polskim”. Ks. Michulce chodziło przede wszystkim o to, by przypomnieć postać wielkiego kapłana wychowawcy, zatroskanego o najbardziej potrzebujących dzieci polskie wywierając urok i pobudzając do podobnych poświęceń tych wszystkich, którym na sercu leży dobro Ojczyzny. Tak właśnie cel, jaki wytyczył sobie autor tłumaczy nam pominięcie w jego pracy powoływania się na źródła, i niezbędne w takich wypadkach cytaty, uwagi, odnośniki itp. Autor opiera się przede wszystkim w swej pracy na autopsji, był bowiem świadkiem pracy wychowawczej ks. Markiewicza od samego początku. Należał do jego pierwszych uczniów. Jest on świadkiem wiernym. Podaje fakty oględnie, nie narzuca własnej interpretacji, pozostawia niektóre sprawy do osądu czytelnika.

Z tego też względu praca ks. Michułka stanowi ważne źródło dla szerszej biografii, opartej na ścisłych danych naukowych. Biografii takiej należy oczekiwać w związku z rozpoczętym już procesem beatyfikacyjnym ks. Markiewicza.

Gdy chodzi o źródła autor wyzyskał wszystkie jemu dostępne. Korzystał przede wszystkim z archiwum Zgromadzenia św. Michała Archanioła. Ponadto zebrał sam korespondencję ks. Markiewicza z księżmi-uczniami w Ameryce. Ze względów niezależnych od niego pominał źródła Kurii Przemyskiej, Seminarium Duchownego w Przemyślu, Kurii Krakowskiej, Uniw. Jagiellońskiego, Kurii Generalnej Zgrom. Salezjanów w Turynie i nie wykorzystał materiałów z placówek, na których pracował Markiewicz (Przemysł, Turyn, Valsalice, Bordighera, Mathi, San Benigno, Canavese). Obecnie w związku z procesem beatyfikacyjnym ks. Br. Markiewicza, Zgrom. Św. Michała Archanioła uzupełnia materiały pominięte przez autora. I okazuje się, że materiały te nie wnoszą zasadniczych zmian w przedstawienie życia i dzieła ks. Fundatora, ale je tylko uzupełniają.

Należałoby podkreślić z przyjemnością poprawność edycji, przejrzystość druku, przestrzeganie czystości języka, brak potknięć w piśmowni. Lekka archaizacja języka nie razi czytelnika, raczej dodaje powagi dziełu. Szkoda tylko, że tak pożyteczne dzieło ukazało się w tak niewielkim nakładzie (1500 egzemplarzy). Spodziewać się należy w niedługim czasie ponownego wydania tego pożytecznego dzieła w zwiększonym już nakładzie z uwzględnieniem jednak poprawek. I tak: prosty język narratora mógłby być bardziej ożywiony; zbytnie polemizowanie z niewidzialnym przeciwnikiem osłabia zwartość konstrukcyjną książki, stąd rozwlekłość niektórych rozdziałów. Niekiedy autor gloryfikuje Markiewicza tylko werbalnie.

Najistotniejszy błąd rzeczowy polega na tym, że autor nie tłumaczy na czym polega powściągliwość i praca i dlaczego ks. Markiewicz tak zdecydowanie prowadził spór najpierw z salezjanami a potem z własnym ordynariuszem i opinią oficjalną. Czytelnik obserwując samą walkę i sympatyzując z osamotnionym bohaterem nie jest jednak dostatecznie przekonany o celowości i konieczności tej walki. Książka nie wykazuje, jak daleko naprzód wybiega spojrzenie ks. Markiewicza i że jego poglądy i działalność tak skromne skądinąd, mają znaczenie epokowe. Ks. Michułka powinien przekonać, że jeśli ks. Markiewicz będzie wyniesiony na ołtarze, to będzie patronował nie wychowaniu, czy duszpasterstwu, ale powściągliwości i pracy, i powinien wyjaśnić jako świadek naoczny jak ks. Markiewicz rozumiał i pełnił powściągliwość i pracę. Powściągliwość i pracę ks. Markiewicz pojmował jako pewien styl życia nacechowany prostotą, skromnością, umiarem i pracowitością. W ten sposób przeciwstawiał się ogólnemu pędowi do bogacenia się za wszelką cenę i wygody życia. Postawa ta rodziła, zdaniem ks. Markiewicza, wielkie

konflikty społeczne i moralne: ekspansję kolonialną i imperialną, niski poziom materialny, intelektualny i moralny dolów społecznych, niesprawiedliwość społeczną i wyzysk, alkoholizm, loterie i hazard, wojaże szlachty, brak skromności w strojach i obyczajach itp. — które w swej konsekwencji pociągają powszechną wojnę i ogólną zagładę. Markiewicz wierzył, że temu zaradzić można przez wychowanie nowego człowieka — którego charakteryzować winna powściągliwość i praca. Ludzie bowiem w wychowaniu, zdaniem Markiewicza, położyli nacisk na wiedzę i technikę, które mają uwolnić od ciężkiej pracy i dać mu maksimum wygody życia. Tymczasem Stwórca nakazuje pracę w pocie czoła i umartwienie pod groźbą utraty chleba i zbawienia. Opanowanie popędów czyli powściągliwość oraz pracowitość są warunkiem zdrowia i postępu¹.

Ks. Ludwik Piechnik T. J.

MOIM RECENZENTOM W ODPOWIEDZI

I

W trzech po sobie następujących tomach „Naszej Przeszłości” pojawiły się recenzje moich ostatnich prac, a mianowicie o biskupie Nankercze przez docenta Kłoczowskiego, o prymasie Mikołaju Trąbie przez ks. prof. Liedtkego i o arcybiskupie Jakubie Świnie przez ks. dra Karasiewicza. Recenzje te pióra nieznanymi mi osobistości autorów i z różnych pochodzące środowisk mają jedną wspólną cechę: są zdecydowanie ujemne. U czytelnika nieznanego wymienionych moich książek, a znającego tylko te ich recenzje może powstać sąd niesprawiedliwy, a nawet krzywdzący, że nie posiadają one żadnych zalet, lecz jedynie same wady, błędy, pominięcia i szkodliwe dla prawdy tendencje. Krytycyzm p. Kłoczowskiego posuwa się aż do postulatu ponownego opracowania postaci Nankera, ks. Karasiewicz zaś „ubolewa”, że „pierwsza popularno-naukowa monografia o Jakubie Świnie nie ukazała się w takim ujęciu, by można ją dać do ręki przebiegłemu czytelnikowi, szczególnie młodzieży”. Tylko ks. Liedtke krytykuje rzeczowo i spokojnie, czego zwłaszcza o ks. Karasiewiczu powiedzieć nie można, ale i on nie znajduje dla pracy autora ani słowa uznania.

Rzecz dziwna — ponieważ dawne moje prace oceniali dodatnio uczeni tej miary, co Władysław Abraham, Heinrich Felix Schmid i Zygmunt Wojciechowski, zaś praca o dziejach i ustroju Kościoła na Śląsku przeszła przez sąd bardzo sumiennego zawsze Władysława Semkowicza, niepopłaźliwego dla błędów Stanisława Kutrzeby i doskonałego znawcy

¹ W recenzji tej korzystałem z informacji ks. Mieczysława Głowackiego ze Zgromadzenia Św. Michała Archanioła, biografą procesu beatyfik. ks. Bronisława Markiewicza.

przedmiotu Adama Vetulaniego. Tym razem nie uważam, by zasła jakaś poważniejsza zmiana na gorsze w moim sposobie badania, czy przedstawiania przedmiotu. Wszak praca o Nankercze nie tylko nie odbiega od pewnych rozdziałów mojej książki o Kościele na Śląsku, lecz nawet zawiera w sobie niektóre przejęte z niej ustępy. Praca zaś o Mikołaju Trąbie wywołała opinię najzupełniej dodatnią mediewisty tak wybitnego i wytrawnego, jak dyrektor Kazimierz Kaczmarczyk — niestety wyrażoną tylko prywatnie. Rozważyć mi wypada przypuszczalne powody takiej rozbieżności w sądzeniu nie tylko w swym własnym interesie, lecz więcej jeszcze pro publico bono, czyli dla dobra nauki, która jest dobrem wspólnym, a nie tylko osobistą własnością poszczególnych autorów, czy recenzentów.

Otóż za jeden z głównych powodów uważam nieodpowiedni dobór recenzentów moich wymienionych prac. O ileż trafniej postąpiła Redakcja „Naszej Przyszłości” w stosunku do prof. Vetulaniego oddając zrecenzowanie jego prac ks. Glemmie. Wszak obaj: autor i recenzent stali na równym poziomie nauki i stanowiska. Co się tyczy docenta Kłoczowskiego, to zachodzi pomiędzy nami za wielka dysproporcja wieku i naukowego dorobku, bym mógł bez zastrzeżeń uznać jego kompetencje. Dotąd tak zazwyczaj bywało, nawet w seminariach uniwersyteckich, że starsi sędził młodszych, nie z jakichś przyczyn natury hierarchicznej, lecz po prostu dlatego, że w młodszym wieku i u progu naukowej działalności ma się mniej doświadczenia i odczytania, a za to więcej pewności siebie i ślepego zaufania w wymogi tzw. metody, pojmowanej dość subiektywnie. Sędziowie młodszy są też z reguły surowsi i bezwzględniejsi od starszych.

Gorszym jeszcze okazało się oddanie recenzji mej pracy o Jakubie Swince ks. Karasiewiczowi, autorowi monografii o tymże arcybiskupie. Tak się złożyło, że w wielu zasadniczych kwestiach, odnoszących się do ludzi i spraw tej epoki, zajmujemy zupełnie różne stanowiska. Normalną rzeczą byłaby w podobnych wypadkach polemika i taką polemiką, zresztą niesprawiedliwą w treści i niewybredną w formie, jest właśnie owa recenzja. Recenzja — to sui generis sąd, mianowicie sąd o wartości pracy. Recenzent, jako sędzia powinien być bezstronny, czyli stać ponad stronami spór wiodącymi, nigdy zaś nie może być sam stroną. Otóż ks. Karasiewicz zajął w swej recenzji stanowisko wybitnie stronnicze „pro domo sua”, pozbawione nawet starań o obiektywizm. Tymczasem się to nie tylko tym, że był osobiście jak najsilniej zainteresowany moimi krytycznymi uwagami i twierdzeniami, jakie przeciw jego nowatorskim tezom wysunąłem, ale uczuł się nimi osobiście dotknięty. Nie nadawał się więc wcale na recenzenta. Właściwym dlań miejscem byłby dział Inny, w naukowych czasopismach spotykany, a mianowicie dział polemiczny. Różnica nie jest wcale blaha, czego innego bowiem wymaga się od recenzji, niż od polemiki, choć przyznać należy, że nie-

kiedy wchodzi recenzenci w rolę polemistów i korzystając z okazji załatwiają swe osobiste porachunki. Tylko pamiętać należy, że od recenzji zwykło się wymagać sprawiedliwości i równowagi, a od polemiki wcale nie. Zresztą i spory bywają dla nauki z niemalym pożytkiem, jednak pod warunkiem, by nie były kłótnią, lecz stały na odpowiednim poziomie. Nie mogą zaś przyznać, by poziom owej recenzji-polemiki ks. Karasiewicza był wysoki. Toteż trudno się z nią liczyć poważnie.

W sumarycznej odpowiedzi na liczne zarzuty mych recenzentów niesposób mi rozprawiać się ze wszystkimi i ze wszystkimi. Przyznaję, że wymienione moje prace posiadają swe niedostatki. Dostrzegam sam takie, których mi nie wytknięto, np. brak rozbiórki statutów Nankercowskich, co jednak pominąłem celowo, aby wywodami porównawczymi z dziedziny prawno-historycznej nie czynić książki „niestrawną” dla zwykłego czytelnika. Z dostrzeżonych przez recenzję błędów nie potrafię już dziś powiedzieć, które są zawinione przeze mnie — głównie z powodu zawrotnego tempa pracy i niepomyślnego stanu zdrowia — a które obciążają redakcję i korektę, istotnie niedbałą. Szczyt tego osiągnęło w książce o M. Trąbie. Ks. Liedtke wytyka mi, że pominąłem pracę O. Haleckiego o królowej Jadwidze. Ja ją uwzględniłem i zacytowałem, lecz cytat ten został skreślony ze względów cenzuralnych, gdyż Halecki jest najwybitniejszym historykiem na emigracji i jako taki nie mógł być wymieniony w dobie druku mej pracy. Liczne błędy drukarskie, papier niewiele lepszy od gazetowego, marginesy poćcinane do minimum tak, że książka czyni zewnątrznie żalosne wrażenie. I rację ma ks. Liedtke, że „postać pierwszego prymasa Polski zasługuje na troskliwsze wyposażenie monografii pod względem edytorskim i graficznym”. Autor był, jeśli o to idzie, bezsilny.

Pisanie i wydawanie książek z zakresu historii Kościoła w Polsce urastało do znaczenia społecznej potrzeby w przedpaździernikowym okresie. Szczególnie dawała się odczuć potrzeba książek dla szerszego ogółu, a jednak nie pozbawionych naukowego charakteru. Do takiej pracy zachęcał mnie nieodżałowanej pamięci Zygmunt Wojciechowski, nie tylko uczonec, lecz także organizator ruchu naukowego niepośledniej miary. On to miał pierwotnie sam opracować postać Jakuba Swinki, ale z powodu choroby mnie ten temat odstąpił. Nie szukałem więc zwady z ks. Karasiewiczem, bo nie lubię wdawać się w żadne spory, przekonany o ich bezcelowości. Czy ja jednak, czy prof. Wojciechowski — to obojętne, albowiem każdy przy tej okazji musiałby znaleźć na swej drodze monografię ks. Karasiewicza i zająć stanowisko wobec zawartych w niej, nowych i sprzecznych z dotychczasową nauką, twierdzeń. Temat Nankercowski znowu był postulatem wyższego kleru wrocławskiej diecezji. Chodziło o coś więcej, niż przypomnienie tego ostatniego we Wrocławiu polskiego biskupa, chodziło o wzbudzenie kultu dla jego święto-

biłwej postaci. Nie brakło nawet głosów domagających się wszczęcia starań o jego beatyfikację. Moja książeczka miała również tym celem przyjść z pomocą.

Parę słów wypada z kolei poświęcić kwestii popularno-naukowego charakteru moich prac. Moi recenzenci nie są między sobą zgodni co do tego pojęcia — toteż gdybym był poszedł za ich wskazówkami, byłbym raz po raz zapędzany w dwie wprost przeciwne strony: to ku więcej i ściślej naukowym metodom i wywodom, to ku większej popularyzacji. Kłoczowski zarzuca mi brak analizy źródeł, oraz brak źródłowego uzasadnienia pewnych twierdzeń, zwłaszcza w dziedzinie charakterystyki osób — ks. Liedtke krytykuje zbyt szerokie traktowanie tła dziejowego, właśnie w książkach popularnych niezbędne — ks. Karasiewicz bierze mi za złe krytykę literatury przedmiotu, czyli krytykę własnej swej monografii, co rzekomo ma być sprzeczne z samym założeniem popularyzacji, tak, jakby książki historyczne, dla ogółu inteligencji pisane, miały powtarzać cudze poglądy, a w razie ich niezgodności wstrzymywać się od wszelkiej krytyki i wszelkiego sądu. Otóż na szczęście nie ma i nie będzie regul określających tak zwaną popularno-historyczną literaturę. Każdy autor postępuje tu po swojemu, więc jeden zbliża się bardziej do rodzaju ściśle naukowego, drugi stoi na pograniczu między literaturą naukową, a literaturą piękną, choć nie zaniedbuje przy tym podstawy źródłowej, jeszcze inny postępuje raz tak, raz owak, w miarę potrzeby i swej indywidualności badawczej i pisarskiej. Wielką rolę na tym polu odgrywa obok wiedzy historycznej również intuicja historyka, oraz talent autora, spełniający niekiedy wymogi prawdziwej sztuki. Dość wymienić takie nazwiska jak Stefana Zweiga, Reinholda Schneidera, Gaxotte'a, Maurois'a a z historii Kościoła Daniela Ropsa. U nas jest ten rodzaj nie tylko mało uprawiany, lecz także za mało znany i za nisko ceniony. Nic więc dziwnego, że moi recenzenci nie bardzo umieją dać sobie radę ze mną. Co prawda, to i ja sam już po nabytym doświadczeniu, więc po niewczasie, postąpiłbym przynajmniej co do jednego inaczej. Oto skasowałbym balast przypisów, lub bardzo ograniczył, a zastąpił przypisy spisem źródeł i literatury, oczywiście rozumowanym. Uniknąłbym w ten sposób nieporozumień i błędów w cytatach, bo tam bywa ich najwięcej, co słusznie, mnie i korekcie wytyka ks. Liedtke.

W każdym razie należy się stanowczo zastrzec przeciw obniżaniu wartości tego rodzaju prac i pogardliwemu ich traktowaniu, jak to czyni ks. Karasiewicz. Gdybyśmy mieli podzielić jego poglądy, to jakież miejsce wypadłoby przyznać *Szkicom historycznym* Szajnochy, Kubali, Smółki, Askenazego? Ks. Karasiewicz, historyk-amator i czynny na polu naukowym stosunkowo niedawno, zdradza za małe odczytanie w literaturze historycznej polskiej i zagranicznej, które zdobywa się przez dziesięć lat, a wraz z tym przychodzi znawstwo i doświadczenie, oraz

równowaga w sądzeniu. Jak różne są indywidualności badawcze i pisarskie, tak rozmaite są rodzaje prac historycznych.

Do jakiego rodzaju zaliczyłbym sam swe trzy omawiane prace? Bez wątplenia do popularno-naukowego, lecz że to jest rodzaj obszerny i dopuszczający wiele odmian, więc z zastrzeżeniem, że niektóre ustępy przynoszą nowe osiągnięcia i dzięki temu stoją na pograniczu między ściśle naukowymi a popularnymi pracami. Wskażmy kilka takich ustępów, w czym pozwolimy sobie zastąpić recenzentów, którzy ich nie dostrzegli. Sięgnijmy wspomnieniem do swych robót i zabiegów przy tych okazjach, aby obalić unoszący się nad moimi pracami określnik: popularno-naukowe — i w intonacji i w formie zarzutu.

Miły się p. Kłoczowski zaznaczając zaraz na wstępie swej recenzji, że moja praca o Nankercie opiera się głównie na literaturze przedmiotu. Oparta jest ona bowiem także o podstawę źródeł, których znajomość przyznał mi nawet p. Baszkiewicz, stojący na innym metodyczno-ideowym stanowisku. Ja dodam, że źródła przejrzałem i przetrzymałem dwukrotnie: raz pisząc swą książkę o Kościele na Śląsku do końca XIV wieku, powtórnie zaś dla Nankera. Przy tym dotarłem do uzupełnionych Regestrów śląskich, których egzemplarz, przepisany z Archiwum Wrocławskiego — dzięki staraniom prof. W. Semkowicza — znajduje się w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Informacja dla mego arcykrytycznego recenzenta, mogąca mu się przydać na wszelki wypadek.

Dla pracy o Mikołaju Trąbale sięgnąłem do tek ks. prof. Fijałka. Ktośkolwiek zetknął się z tymi tekami, złożonymi w liczbie około 200 w bibliotece b. Pol. Akademii Um. w Krakowie, ten wie, jak trudno jest tam znaleźć to, czego się szuka. Mnie sprzyjało szczęście, bo znalazłem cenny fragment, nie prowadzonej dalej pracy ks. Fijałka, dotyczący rodzinnych i majątkowych stosunków pierwszego prymasa.

Nie zaniedbałem zasięgnięcia porady specjalistów, bieglejszych w danych kwestiach od siebie. Tak więc odnośnie do soboru w Konstancji udałem się do prof. Ludwika Ehrlicha, który udostępnił mi swą jeszcze nie drukowaną pracę o Pawle Włodkowie. Dyrektor Kazimierz Kaczmareczk udzielił mi porady w kwestiach genealogiczno-heraldycznych, której potrzebowałem, stąpając niepewnie po tym terenie. Prof. Grodecki utwierdził mnie w przekonaniu co do słuszności swego, od Balzera przyjętego stanowiska, w sprawach dotyczących genezy państwowości polskiej u schyłku XIII i na początku XIV wieku. Znalazła się tam i I Koalicja, z której podtrzymywania czyni mi zarzut ks. Karasiewicz (związek Henryka IV, Leszka Czarnego, Przemysława Wielkopolskiego i Henryka głogowskiego).

Stosunkowo najwęższej przedstawia się moja podstawa źródłowa w książce o Mikołaju Trąbale. Materiał polski zbadałem bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem literatury naukowej, lecz na szczególne

studium obszernych zbiorów Hardta i Finkego, zawierających akta soboru w Konstancji nie starczyło już sił, ani czasu. Zresztą powierzchowny rzut oka nie rokował tam plonu, oplacającego należycie trud. Sprawa Husa, choć ważna sama w sobie, była dla mego zagadnienia uboczną, więc nie martwi mnie bynajmniej zarzut p. E. Maleczyńskiego, że nie zazanajomił się z czeską literaturą tego przedmiotu. Taka otchłań, jak sobór w Konstancji, wymagałaby całych lat studiów bodaj dla naukowego zbadania polskiego tam udziału, wkładu i płynących stąd skutków dla Polski. Pracował nad tym ks. prof. Henryk Likowski, lecz przedwczesna śmierć przerwała tok tej pracy. Jak z recenzji można wnosić nikt dziś lepiej od ks. Liedtkego nie zna ludzi i spraw tych czasów. Może on podejmie się tego, bo dotychczas mało był produktywny.

Moją zdobyczą — przy pomocy zresztą trzech stronice ze spuścizny po ks. Fijałku — jest ustalenie rodowodu Mikołaja Trąby, oraz jego rodzinnych i majątkowych stosunków. W tej kwestii panowało dotąd zamieszanie, gdyż nie rozróżniano należycie osoby podkanclerzego Mikołaja od innego Mikołaja, późniejszego biskupa wileńskiego, obaj bowiem pisali się z tej samej wsi Gorzkowa. Zamieszanie to zwiększyła jeszcze sumienna i wytrawna uczona, docent śp. Helena Połaczkońska odnosząc sporo wiadomości źródłowych tyjących się tamtego Mikołaja do naszego Mikołaja Trąby. Sądzę, że rozplątanie tego węzła stanowi moje — nie uznane przez recenzenta — osiągnięcie. Mniejsze trudności stanowił rodowód Jakuba Świnki. Przy tym wywodzie, który prowadził na Śląsk w okolicy Świdnicy, był mi wskazówką referat W. Semkowicza w „Sprawozd. Pol. Akad. Um.”, lecz opracowanie kwestii było moim osobistym wkładem i owocem. Wreszcie moja polemika z ks. Karasiewiczem. Były to kwestie naukowe i spór był o odmienne interpretacje źródeł i wynikię stąd bardzo różne poglądy, dotyczące Jakuba Świnki, biskupa Jana Muskaty i innych osób oraz spraw ówczesnych. Przytoczę na tym miejscu słowa ze słyszanego przez siebie kilkakrotnie inauguracyjnego wykładu na słynnym seminarium Balzera, że wynikiem dla nauki pożytecznym jest nie tylko nowe odkrycie, czy oświetlenie nieznanych dotąd kwestii, lecz także sprostowanie sądów i poglądów dawnych, czy nowych, nawet uznanych za słuszne, lecz w istocie z prawdą historyczną niezgodnych. Zdaje mi się, że moje przeciwdziałanie tezom ks. Karasiewicza jest właśnie postąpieniem w myśl programu mego wielkiego i niezapomnianego mistrza. Powód czysto naukowy, bo sprawy są naukowe, nie inne, zaś umieszczenie polemiki w książce o charakterze lżejszym, niż zwykle naukowe rozprawy, nie stanowi żadnej niewłaściwości, nie polemika bowiem była tu celem sama w sobie, lecz wynikała jako konieczność z treści książki. To uważam też za swe naukowe osiągnięcie, ale bynajmniej się nie dziwię, że ks. Karasiewicz tego mi za dobre nie uznał.

Ważnym nowym wniósł p. mgr Gołąb, współautor naszej pracy o Jakubie Śwince. Pracował on od kilku lat nad ustawodawstwem synodal-

nym Polski XIII wieku, przy czym opanował nie tylko obfitą literaturę przedmiotu, tak polską, jak obcą, lecz także bogaty materiał źródeł, nawet obcych — przeważnie włoskich, co było dla celów porównawczych niezbędne. Ustęp jego autorstwa, poświęcony statutom Świnki, jest pierwszym w naszej literaturze prawnohistorycznej opracowaniem tych doniosłych pomników. Prof. Abraham ustalił niegdyś daty synodów Świnki i przydzielił im poszczególne statuty, ale nie wchodził w analizę ich treści prawnej. To zadanie wykonał Gołąb, co więcej, związał on statuty z całą działalnością arcybiskupa, oraz z ówczesną rzeczywistością. Rozdział ten, liczący ponad 60 stronice druku jest nawskroś oryginalny i stanowi osobne studium. Dziwić się tylko można, że ks. Karasiewicz, jako recenzent nie poświęcił mu ani słowa, natomiast nie zapomniał zwrócić uwagi na zwykły błąd drukarski, wskutek którego uległy pomieszaniu bez winy autora nazwy Chełmna i Chełmży. Tak to recenzje odbiegają od tego, czym być powinny. Toteż sztuka recenzowania nie każdemu jest dana w udziale. A pożytek z takich chybotanych recenzji bywa mniejszy zawsze od szkody, którą wyrządzają — nie autorom oczywiście, lecz prawdzie, która recenzentów obowiązuje pospołu z autorami.

II

W porządku czasowym publikacji moich prac i ukazania się ich recenzji przechodzę do bardziej szczegółowej odpowiedzi moim krytykom. Zarzuty docenta Kłoczowskiego i ks. Liedtkego zniatwię w krótkości, natomiast rozprawa z ks. Karasiewiczem będzie obszerniejsza z powodu niebywalej w recenzjach ostrości jego ataku na mnie i oczywiście niesłuszności jego sądu o mojej pracy.

Pan Kłoczowski powiada, że recenzję o mej pracy o biskupie kolejno krakowskim i wrocławskim Nankercze, „ogranicza do kilku tylko, najistotniejszych zresztą aspektów metodyczno-konstrukcyjnych”. Takim zarzutem z arsenału metody zaczerpniętym jest brak u mnie analizy, zwłaszcza zaś analizy dokumentów. Jako przykład podaje recenzent fakt bardzo doniosły przeniesienia Nankera z Krakowa do Wrocławia, nie oświetlony przeze mnie w sposób zadawalający dlatego, ponieważ nie zanalizowałem odnośnej bulli papieskiej z 1 X 1326 r. Otóż przykład jest źle wybrany. Bulla nie przytacza powodów przeniesienia Nankera i żadna najbardziej wnikliwa analiza nie by z niej nie wydobyła. Natomiast, gdy później starał się Nanker o powrót na krakowską stolicę, papież w odpowiedzi zaznaczył, że przenosząc go sądził, iż będzie to miłym jego diecezjanom. Bezplodną analizę dokumentu zastąpiłem analizą ówczesnej sytuacji politycznej, oraz wyszukaniem przyczyn niezadowolonia krakowskich poddanych ze swego pasterza. Widziałem je mianowicie w usiłowaniu narzucenia kołedy w postaci daniny ściśie,

a dość wysoko określonej, podczas gdy dotychczas była ona dobrowolną ofiarą.

Nie rozumiem zgola zarzutu, że mój Nanker „jest zbyt wyabstrahowany ze współczesnej mu rzeczywistości społecznej”. Wszak tę rzeczywistość przedstawiam obszernie, jako tło dziejowe zarówno krakowskie, jak i wrocławskie. Szkoda, że recenzent nie uzupełnił swoich wywodów, bo zarzut w tej formie postawiony jest gołosłowny. Tak samo nie mogę się przyznać, bym traktował Nankera, jako niezmiennego od początku do końca. Przecież powtarzam słowa nuncjusza Galharda, że biskup wrocławski jest zniechęconym starcem i nie panuje nad sytuacją, czyli że jest nie ten sam, co dawniej.

Czyżbym grzeszył panegiryzmem w stosunku do Nankera? Chyba nie. Zresztą jest to rzecz wrażenia, a tego wrażenia inni czytelnicy mej książki nie odnieśli ... no i rzecz stylu, może miejscami zbyt barwnego. Nie podoba się memu krytykowi podział mej pracy na 20 krótkich „rozdziałków”. Kompozycja to rzecz bardzo indywidualna, osiągnięcie ideału jest w tej dziedzinie niemożliwe, bo każdy układ ma swoje złe i dobre strony, jeden takie, a drugi inne. Mistrz sztuki pisarskiej Daniel Rops rozczłonkował swe dzieła w podobny sposób, więc na liczne a krótkie ustępy. Przykładem *Histoire Sainte — Le peuple de la Bible*. Zarzut byłby wtedy uzasadniony, gdyby krytyk dowiódł, że moje rozdziały nie pokrywają się z okresami życia Nankera, lub z kierunkami jego działalności, ale tego nie wykazał, bo wykazać nie mógł. Zresztą cóżby pomogło w sensie lepszego rozczłonkowania pracy podzielenie jej np. na 10, zamiast na 20 rozdziałów? Zdrobnienie „rozdziałki” użyte przez recenzenta ma podkreślić i wyjaskrawić zarzut wadliwości układu — ale, jak każda przesada, celu nie spełnia.

Stawia mi mój krytyk wielkie imię Smolki za wzór historyka i pisarza, godny naśladowania. Nie przeczę, że Smolka godzien jest, by pójść w jego ślady, choć mnie mój wiek podeszły stoi na przeszkodzie, bym z tej cennej rady p. Kłoczowskiego skorzystał. Zresztą jestem przekonany, że prędzej porozumiałbym się ze Smolką ja, jako autor, niż mało ze swych prac naukowych znany p. Kłoczowski, jako recenzent.

Jeżeli p. Kłoczowski skrytykował moją pracę z wyżyn metodycznych, to ks. Liedtke postąpił inaczej: książeczkę o Trąbie przejrzał dokładnie, ustęp za ustępem i niemal stronicę za stronicą. Znalazł oczywiście pewne błędy, nieodzowne przy tak rozległym temacie, a tak niepomysłnych warunkach mej pracy — bądź istotne, rzeczowe, bądź przez niego podniesione, ale będące wynikiem innych poglądów, jakie on i ja żywimy. Niektóre z tych błędów tyczą się spraw, lub osób zgola drugorzędnego dla mego tematu znaczenia, jak np. parę mych słów nietrafnych o biskupie wrocławskim Janie z książąt opolskich, zwanym Kropidło. Ks. Liedtke jako autor specjalnych o nim studiów zna go najlepiej, lecz i on nie mógł udowodnić współdziałania Kropidły z delegacją polską na

soborze w Konstancji w walce przeciw Zakonowi, chyba tylko w myśli zasady, że nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół powinni być naszymi przyjaciółmi. Na ogół jednak Kropidło nie cieszył się łaskami króla Jagielly i w częstych bywał z nim zatargach, co podkreślał ks. Fijałek. Pewne błędy, czy błędne poglądy przejąłem z literatury przedmiotu, zaiste olbrzymiej, zwłaszcza jeśli idzie o tło dziejowe. Ponad siły było opanować całą tę literaturę i wyrobić sobie na jej podstawie własny sąd krytyczny. Podtrzymuję jednak zdanie, iż wybitny autor francuski, Noël Valois, powątpiewa o legalności wyboru papieża Urbana VI, a jak najwyżej ocenia Benedykta XIII.

Sumienny i dokładny, oraz rozporządzający dużą wiedzą ks. Liedtke, popada jednak nie jeden raz w niezgodę z samym sobą. Razem ze mną uznaje, że osoba Mikołaja Trąby jest nader skąpo oświetlona źródłami, że wiemy raczej o sprawach, w których brał udział, niż o jego osobistym wkładzie w te sprawy, ale mimo to żąda ode mnie zdecydowanego sądu o jego działalności. Rażą go wszelkie moje wątpliwości i niezdecydowania, razi brak dowodów źródłowych nawet tam, gdzie zachodzi niemożność ich dostarczenia. Specjalnie wziął się na słowo „pewno”, które według niego powinno zniknąć ze słownika historyka, jakby to potępione słowo nie znaczyło tyleż samo, co „zapewne”, lub „prawdopodobnie” — wszystko to określenia stanu, jakże częste w nauce, gdy w braku absolutnej pewności zadowolić się musimy przypuszczeniem. Zarzut to drobny sam w sobie, lecz przykry, bo na ogół cieszę się opinią niezłego stylisty i dbałego o literacką formę autora. Niestety wiele faktów z życia Trąby nie może być określone inaczej, jak tylko hipotetycznie, np. kwestia jego dwu herbów, jego więzienia austriackiego, a nawet zdobycia przezeń godności prymasa. Ks. Liedtke nie uważa za pewną także datę jego urodzin, choć prymas sam podał swój wiek, zeznając jako świadek w procesie z Krzyżakami, a chyba wiedział, ile ma lat. Za niepotrzebne uważam w recenzji wspomnienie o bezwartościowym utworze Wiktora pt. *Papież i buntownik*.

III

Wszelką miarę, dopuszczalną w recenzji, a choćby w polemice, ukrytej pod zasłoną i nazwą recenzji, przebrał ks. Karasiewicz. Docent Kłoczowski stawiał mi zarzuty metodyczne, ks. Liedtke przeważnie rzeczowe, jeden tylko ks. Karasiewicz posunął się do ataków osobistych, do których ja w mej książce o Jakubie Świnie nie dałem mu powodu. Widocznie ks. Karasiewicz tak zespolił się ze swymi wywodami i tezami, iż wszelkie twierdzenia im przeciwne bierze sobie głęboko do serca. To rzecz jego psychiki. Ale ja wyzwany przez niego muszę chcąc nie chcąc stoczyć z nim rozprawę.

Powłada ks. Karasiewicz o mnie i moim współpracowniku p. mgr

Goląbie, że podchodzimy do postaci Jakuba Świnki z entuzjazmem, a nieco dalej stawia mi zarzut panegiryzmu w stosunku do niego, zarzut przykry, ale tylko wtedy, gdyby był usprawiedliwiony. W czymżeż ma się ten panegiryzm przejawiać? Nie w czym innym chyba, jak w niezwykle doniosłej, politycznej roli, którą w czasach istotnie przełomowych przypisuje arcybiskupowi Świnie, a którą ks. Karasiewicz redukuje do znacznie mniejszych rozmiarów. Ale przecież nie ja sam jeden podnoszę go do tej roli, tylko takim widzi arcybiskupa Jakuba II prawie cała nasza literatura historyczna, na czele z wielkim Oswaldem Balzerem. A może za panegiryzm uważa ks. Karasiewicz określenie „człowiek opatrnościowy”, które do Świnki stosuje? Jest to znowu nie moje określenie, tylko prof. Romana Grodeckiego, zaczerpnięte z jego *Dziejów Polski od Mieszka II do Jagiellły*, rozdział X pt. Świat odrodzenia narodu i państwa — wyd. Polska, jej dzieje i kultura, t. I, rok 1927. A jeśli o sam przymiotnik „opatrnościowy” idzie, to kto wie, czy nie zawdzięcza on swej genezy Gabrielowi Hanotaux, znakomitemu francuskiemu historykowi. Bo oto, co czytamy u niego: „Nic wielkiego, owocnego, trwałego nie powstaje, jak tylko przez indywidualności. Trzeba geniuszu polityka, odkryć uczonego, cnót świętego, aby świat naprzód posunąć. To zawsze jakiś przewodnik wyższej miary wiedzy społeczność swą ku szczytom. Bywają czasem ludzie opatrnościowi, których zjawienie się na zakręcie dziejów jest cudem. Tego cudu nie można wytłumaczyć w sposób racjonalny”. Czyżby trzeźwy Francuz uprawiał panegiryzm względem wielkich ludzi? Wcale nie — on tylko oddaje, co się należy — uznanie historyka w imieniu potomności.

Jaka szkoda, że u nas ludzie nauki, a jeszcze nie zasługujący na miano uczonych, za mało czytają, zwłaszcza literatury obcej, zachodniej i przez to zacieśniają swe horyzonty, zamiast je rozszerzać. Szkoda również, że zanika sztuka pięknego pisania, kult formy i kult słowa, kształcony z rozkoszą, lecz nie bez trudu na dobrych wzorach. Balzer kochał się w pięknej polszczyźnie, chociaż pracował w mało wdzięcznym dla tych swoich zamiłowań materiale — historii średniowiecznego naszego prawa. Te talenty cenił i popierał u swych uczniów. Znakiem pisarzem, jeśli o formę również idzie, jest Roman Grodecki, historyk gospodarczy z zawodu, ale wybiegający daleko poza szranki swego przedmiotu. Wymieniam ich obu właśnie ze względu na Jakuba Świnke, o którym pisał obaj, ale inaczej niż ks. Karasiewicz. Czyżby przez to zasłużyli sobie od tego krytyka na zarzut panegiryzmu?

Ale nie w samej formie pisarskiej, raz z tendencją artystyczną, a raz bez niej tkwi sedno rzeczy. Jeśli sięgniemy głębiej w poszukiwaniu przyczyny takiego usposobienia ks. Karasiewicza, to natrafimy u niego na rodzaj zdolności wyłącznie analityczny. „Książka dobra nie tyle do czytania, ile do wyczytywania szczegółów”, jak raz powiedział, najsubtelniejszy według Kleinera z literatów, Wacław Borowy — to wła-

śnie monografia ks. Karasiewicza o Jakubie Świnie. Sam arcyostrożny, czy arcybojaźliwy w dziedzinie syntezy, potępia syntetyczne ujęcia innych. Ofiarą takiego bezwzględniego potępienia padłem właśnie ja, i to nie tylko moja książka, lecz również ja, jako jej autor. Dostał mi się w udziale nie tylko zarzut panegiryzmu, lecz także frazeologii, czyli potoku słów pustych i nieuzasadnionych. Widocznie według ks. Karasiewicza wszelka silniejsza barwa i kontur ostrzej zarysowany, każde słowo odzwierciedlające głębiej i wyraziściej rzecz, czy osobę musi być frazeologią. Biedna byłaby literatura naukowa bez takiej „frazeologii”, uboga i nieczytelna poza szczupłym gronem zawodowych uczonych.

Rzekomo „piszę z fantazji, moje rozważania są oderwane od bazy źródłowej, toteż muszą budzić zastrzeżenia” — to niby dalszy ciąg tamtych wymienionych zarzutów. Operujemy tym samym materiałem źródłowym, który znamy równie dobrze obaj, różnica zaś leży w tym, że w niektórych, ale ważnych wypadkach inaczej te same źródła rozumiemy i interpretujemy i w ślad za tym inne wyciągamy z nich wnioski. Zadanie historyka nie polega na tym, by mówić po polsku to samo, co w źródłach powiedziane jest po łacinie, on rozumuje wiążąc pozbierane wiadomości w pewną całość. Ale tu otwiera się pole do częstej wóród historyków różnicy zdań, co wcale nie jest objawem złym i złą wolą powodowanym. Jeśli ktoś z tych samych źródeł inne wyciąga wnioski i ponad nimi inną buduje syntezę, to tak samo pracuje z pożytkiem dla nauki. Subiektywizm jest nieodłączny od natury człowieka. Jak bardzo subiektywizmem odznacza się ks. Karasiewicz i jak dowolnie postępuje ze źródłami, wykażę poniżej. Tak więc pocisk we mnie wymierzony nie tylko chybia celu, lecz wraca i uderza w mego krytyka. On to sam odrywa się od źródeł, często bez ścisłości, zawsze bez powodzenia. Co go do tego skłania? Nie pomyślę się chyba charakteryzując ks. Karasiewicza jako historyka, że jest „*novarum rerum cupidus*”, wyrażenie wzięte z J. Cezara. Historycy, zwłaszcza początkujący — bez względu na wiek — ożywni są częstokroć chęcią robienia odkryć i prostowania dawnych, jakoby przestarzałych wyników. Chęć ta w zasadzie dodatnia prowadzi czasem na bezdroża. Trzeba dobrze rozważyć zanim podejmie się spór z sądami, ustalonymi w nauce przez dużej miary autorytety. Nie tylko bowiem źródła, lecz także nazwiska mają swój walor¹.

¹ Z okazji Jakuba Świnki i biskupa Muskaty dwa nazwiska stają w pamięci: Abrahama i Balzera, w których obronie, czyli za reprezentowanymi przez nich poglądami, wystąpiłem. Za to odplacił mi się ks. Karasiewicz niesmacznym żartem, że domagam się dla prof. Abrahama „nietykalności”. Wiemy dobrze o co chodzi, a tylko ks. Karasiewicz udaje, że nie wie. Bynajmniej nie o nietykalność, lecz o zwykły szacunek i poważne liczenie się z ich sądami, co nie wyklucza rewizji tych sądów, ale rozważnej i uzasadnionej. Częstokroć wszakże lepiej jest i bezpieczniej pozostawać na dawnym stanowisku, niż burzyć to, co

Dlaczego sięgnąłem po porównanie z literatury łacińskiej? Poszedłem tylko za przykładem ks. Karasiewicza, który względem mnie użył znanego, ale odwróconego powiedzenia Tacyta, że piszę: „cum ira et studio”. „Ira” — gniew powoduje mną rzekomo w stosunku do biskupa krakowskiego Muskaty, a „studium”, czyli tendencja panegiryczna w stosunku do Jakuba Świnki. Tymczasem ja nie tylko, że się do zarzucanych mi grzechów nie poczuwam, lecz stwierdzam, że „ira”, czyli gniew jest motywem ks. Karasiewicza odnośnie do mnie. Gniew zaś — jak wiadomo — zaślepią i mąci jasność sądu, gniew bywa złym doradcą. Pisana w gniewie recenzja ks. Karasiewicza traci na sile, pisana spokojniej może potrafiłaby przekonać.

Co mogło spowodować tak wielką irytację na mnie ks. Karasiewicza? Głównie to, że jego książka, która powinna była uchodzić za ostatni wyraz nauki, napotkała w kilku najważniejszych sprawach na sprzeciwy tak, że wywody autora i jego wyniki zostały zachwiane, a mam nadzieję, że i w niejednym obalone. Powtórnie oburzył ks. Karasiewicza pewien mój stylistyczny zwrot, uznany przezeń za ironiczny. Mianowicie ks. Karasiewicz określił biskupa Muskatę, jako „bardzo wrażliwego”, ja zaś skwalifikowałem tę charakterystykę jako „rozwesalającą”. Humor bowiem wywiązuje się często z niespodzianych i nagłych kontrastów, tak właśnie, jak w tym wypadku. Bo zważmy tylko: ten biskup, polityk w wielkim stylu, mistrz sztuki procesowej, wojownik i okrutnik, umiejący nienawidzić z całej duszy, jakże dalekim jest od wszelkiej wrażliwości, która cechuje istoty delikatne i uczuciowe. Tego napewno nie wyczytał ks. Karasiewicz ze źródeł, a intuicja go zawiodła. Skądże tedy nasunął się ks. Karasiewiczowi taki niestosowny dla Muskaty określnik? Stąd, że ks. Karasiewicz odczuwa do tego Niemca, czy lepiej nawkrót zniemczonygo Ślązaka i najgorliwszego przedstawiciela wojującej z naszym narodem niemieczyny, jakiś dziwny sentyment. Jeśli mówić można o „studium” ks. Karasiewicza, to zsirodkowało się ono właśnie na Muskacie. Mnoży ks. Karasiewicz środki i dowody przemawiające na jego korzyść, osłabia lub w niwecz obraca wszelkie świadectwa przeciwnie. W tej oryginalnej obronie biskupa krakowskiego, najgroźniejszego wewnętrznego wroga narodowości polskiej i przyrodzonego jej pana i księcia Włodysława Łokietka jest ks. Karasiewicz

wznieśli uczeni dużej miary. Balzer i Abraham formowali moją młodość, stąd prócz naukowego jak największego dla nich szacunku żywią również i niewygasłą wdzięczność. Pozostawili po sobie olbrzymią spuściznę nie tylko naukową, lecz także kulturalną i moralną. Budzą też zaufanie samymi nazwiskami, skoro znało się ich osobiście i patrzyło na ich pracę. Dlatego razi bezceremonialność ks. Karasiewicza w stosunku do nich, co mu zresztą delikatnie wytłknąłem. Wydaje mi się, że tej „nieetykalności” domaga się ks. Karasiewicz dla siebie — ale we wszystkim jest miara i nie chce krzywdzić ks. Karasiewicza, autora jednej książki, zestawiając go z tymi swymi i wielu innymi mistrzami.

odosobniony. Potęplił Muskatę historycy, tak dawniejsi, jak nowsi i daremny jest wszelki trud, aby go wybielić. Potępienie to jest bezwzględne i na nic się nie zda dopatrywanie się w słowach prof. Abrahama „że jeżeli ten człowiek nie był bez winy, to ciężko za nią odpokutował”, niejakiemu dla Muskaty współczucia. Współczucie — nie wiadomo z jakiego powodu — żywi tylko ks. Karasiewicz. Prof. Abraham na innym miejscu (s. 147) swej pracy pt. *Sprawa Muskaty* tak pisze: „Arcybiskup Jakub popierający Łokietka w sporze z Muskatą pozostał nadal wierny swym przekonaniom. W Muskacie widział nie tylko Niemca, wrogię żywiołowi polskiemu i działającego na jego szkodę, ale co gorsza nie mógł w nim widzieć biskupa, bo tym był Muskata jak najmniej, lecz tylko człowieka ambitnego, żądnego wyniesienia się i własnej korzyści, a wnoszącego zepsucie i zgorzenie do Kościoła”. Zaś ks. Fljalek w rozprawie o młodości biskupa Nankera powiada obrazowo, że koronacja Łokietką w roku 1320 przyspieszyła śmierć Muskaty.

W ogóle jednym z głównych, może najważniejszym powodów mego zatargu z ks. Karasiewiczem jest „sprawa Muskaty”. Prawda, że Muskata formalnie nie jeden raz zwyciężał w procesach, nawet w ostatnim procesie przed forum legata Gentilisa, ale czyż i Krzyżacy nie zwyciężali wielokrotnie w procesach z Polską i nie cieszyli się niemal stałym poparciem Stolicy Apostolskiej, która nawet pokoju toruńskiego z r. 1466 przez długie lata zatwierdzić nie chciała? Czyba ks. Karasiewicz nie przyznaje Krzyżakom racji. Nie procesy i wydane na nich wyroki mają moc przekonywującą, lecz inne źródłowe informacje. Pochodzą one z zeznań wielu świadków, osób na wyższych stanowiskach, głównie duchownych, wszystkich zaprzysiężonych. Ks. Karasiewicz dziwnych chwytów się sposobów, aby wiarygodność tych świadectw co najmniej zachwiać. W swej monografii twierdzi, że świadkowie zeznali stronnictwo pod wpływem namilętności politycznej i nienawiści narodowościowej, w recenzji zaś wysuwa osobę Nankera, którego zeznanie istotnie nic nie wniosło, bo zresztą było potraktowane sumarycznie, razem z innymi. Natomiast tacy pralaci kapituły sandomierskiej, jak np. dziekan Herbord i prepozyt Zdzisław, tacy pralaci kapituły krakowskiej, jak archidiacon Rymbold, prepozyt Adam, kustosz Jarost i scholastyk Bolesław książę Toszku, oraz pięciu dygnitarzy świeckich, w tym dwu wojewodów i dwu kasztelanów obciążają swymi zeznaniami Muskatę niezwykłe. Nie widzimy powodu, aby im nie wierzyć, tym bardziej, że podają nie pogłoski — jak chce ks. Karasiewicz — lecz fakty z nazwami osób i miejscowości. Była oczywiście i fama, czyli zła sława Muskaty, na którą sobie rzetelnie zasłużył, ale nawet proces kanoniczny uznawał ogólną złą opinię, stwierdzoną świadkami, za powód do nałożenia kary. Jeśli historyka porównują niekiedy z sędzią, to nie obrażam sobie ks. Karasiewicza w roli sędziego, bo okazał się wybitnie stronniczy na korzyść Muskaty. Dla mnie — i dla prawie wszystkich pi-

szących o tej epoce², nie ulega wątpliwości, że Muskata wdarł się na biskupstwo przy użyciu nacisku ze strony władzy świeckiej, czyli starosty czeskiego, że posługiwał się symonią, że wielokrotnie łamał przysięgę, że męczył i kazał mordować ludzi i nawet rozbijał i rabować kościoły w liczbie ok. 40, a wszystko to czynił tak w interesie własnym, jak swej polityki. Nie pomoże zrzucenie winy na innych, na żołnierzy i dowódców jego czesko-niemieckich wojsk. Zapytamy więc dlaczego Henryk z Wierzbna, a następnie legat Gentilis usprawiedliwił Muskatę? Trudno jest dowieść zarzutu intruzji i symonii, bo współwinni, obciążając głównego winowajcę, szkodziliby i samym sobie. Powtóre co do innych przestępstw można zastosować zasadę: „na wojnie, jak na wojnie” i rozróżnić Muskatę biskupa od Muskaty, czeskiego starosty, wodza i polityka — wreszcie sprawy i wyroki tego rodzaju są najczęściej pod znakiem bieżącej polityki. W naszych oczach nie usprawiedliwiają go te wyroki, umiał się zresztą o nie postarać.

O krwawych rządach Muskaty w Małopolsce mówią nie tylko świadkowie procesowi, mówią o nich także inne współczesne źródła. Rocznik małopolski notuje: *Johannes episcopus capitur a duce propter guerras, quas faciebat, propter discordiam, quam seminavit*, zapiska zaś z 19 VI 1308 r. w indeksie Garampiego wyraża się jeszcze dosadniej, że arcybiskup Jakub wytoczył proces *contra Johannem episcopum simoniacum, qui regens olim Cracoviam nomine regis Bohemiae complures morte mulctavit et Ladislaum Poloniae ducem, verum Cracoviae patronum persecutus bona ecclesiae sibi usurpavit*. Czerpiemy z rozprawy Abrahama *Sprawa Muskaty*. A nieco dalej pisze Abraham, że wśród duchowieństwa krakowskiego smutna o charakterze Muskaty pozostała tradycja. *Hic fuit dissolutus, fuit rustica vita* pisze o nim autor *IV Katalogu biskupów krakowskich*, a inny, z którego ręki wyszedł *V Katalog* umie jeszcze smutniejsze opowiadać rzeczy (grzeszny stosunek biskupa z Gerusą, córką wójta z Sącza).

Czy Muskata popełnił zbrodnię zdrady stanu? Sądzimy, że tak — bo przysięgł wierność Łokietkowi, a nie mamy na myśli wymuszonej przysięgi celem wypuszczenia z więzienia, lecz inne, poprzednie — łamał ją bez skrępowań. Widocznie hołdował zasadzie, że w polityce

² Długopolski na s. 80—81 tak pisze: „To jest pewne, że z rozkazu Muskaty jako starosty wielu ludzi stracono. Imiennie wymienieni są trzej bracia Prosepte. Gdy ich wieziono na wozie biskupa na ściegę, głośno, publicznie oskarżali oni biskupa jako sprawcę. Również z jego rozkazu i w jego obecności stracono pewnego człowieka nazwiskiem Kaszubę. Wolfrada, swego pisarza, który go opuścił, kazał ścinać. Wydawał także wyroki skazujące na wyłupienie oczu. Jego najemni żołnierze zamęczyli na śmierć Zygryda, kustosa kolegiaty sandomierskiej i z polecenia — jak mówiono — biskupa zabrali aparaty kościelne, księgi, a nawet otwierali groby, w czasie rewizji”. Czyżby i Długopolski był tendencyjny i pisał *cum ira*?

moralność nie obowiązuje, a cel uświęca środki. Ze swojego punktu widzenia mógł Muskata uważać, że jest w porządku, bo obowiązuje go nie wierność względem polskiego księcia, lecz względem niemieckiej i jej przedstawiciela, króla czeskiego.

Nie rozumiem dlaczego nie mielibyśmy wierzyć przytaczanym przez świadków słowom Muskaty, tak dlań charakterystycznym. Słowa tego rodzaju wbijają się w pamięć na długo — niesposób ich wymyślić. Jak wierzymy rubasznym słowom Jakuba Świnki, którymi w dniach koronacyjnych Wacława II w katedrze gnieźnieńskiej określił kazanie biskupa z Brixen: „kazanie byłoby dobre, gdyby nie to, że ten, kto je wygłosił, był Niemcem i psią mordą” — *canina facies* — tak samo nie widzę przyczyny, by nie dać wiary takim powiedzeniom Muskaty: „gdybym nie wygubił narodu polskiego, wolałbym umrzeć”, albo do jednego ze swych dowódców, dopominającego się o zapłatę żołdu: „zapłać sobie sam, oto przed tobą kościoły i cmentarze, gdzie dość znajdziesz i weźmiesz na moje polecenie”. Doprawdy, że mało jest współczesnych osób, których słowa i postępkі tak dobrze się dochowały w źródłach³.

Pomniejsza Muskatę i przedstawia go w przyćmionym, mdłym świetle ks. Karasiewicz. Tymczasem Muskata — to mąż stanu na wielką europejską miarę. On przetaił Wacławowi II drogę do koronacji na króla polskiego, on patronował Wacławowi III w drodze na Węgry aż zawróciła go groźna bulla Bonifacego VIII ze słowami: „czcigodny brat nasz biskup krakowski, jeśli można go nazwać czcigodnym”, jego wi-

³ Ks. Karasiewicz w bojowym nastroju nie pomija szczegółów, np. wytyka mu tłumaczenie nazwiska, a raczej przezwiska „Muskata”, które można wyprowadzić od muchy (*musca*), albo od wina muszkatołowego. Moim zdaniem to drugie tłumaczenie wydaje się prawdopodobniejsze. W tym wszystkim obwiniony jestem najnieśluszniej, gdyż nie ja, ale Długopolski w książce o Władysławie Łokietku podał taką genezę miana Muskaty, ja zaś to od niego przejąłem. Dla tych, którzy nie są skłonni mi wierzyć, cytuję dosłownie z Długopolskiego (s. 75): „Skąd wziął się przydomek Muskata i co on oznacza, nie jest wyjaśnione. Nie wydaje się, aby wyraz ten pochodził od łacińskiego *musca*, mucha, albo od włoskiego *moscato*, pachnący piąmem, raczej oznacza on zamilowanie do słodkiego wina *moscato*. Zamilowanie to dobrze harmonizowałoby z nieopanowanym temperamentem Muskaty, a zresztą i skądinąd wiemy, że chętnie uczładował”.

Książka Długopolskiego w trzech rozdziałach, a mianowicie: 3. Polityczna rola biskupa Muskaty — 4. Spory Muskaty z arcybiskupem i Łokietkiem i 5. Przed legatem Gentilem — przynosi najobszerniejsze po Abrahamie przedstawienie fatalnej roli krakowskiego biskupa. Autora cechuje dokładność i obiektywizm. Czas pisania, oraz data wydania jego pracy nie różni się od monografii ks. Karasiewicza. Rzecz popiera swym autorytetem prof. Dąbrowski, który do książki napisał przedmowę. Nie widzimy powodu, dla którego by w tej kwestii, oraz w innych dotyczących arcybiskupa Jakuba nie miała być monografia Długopolskiego ostatnim wyrazem nauki, nie zaś monografia ks. Karasiewicza.

dzimy już po upadku Przemysławów w Krakowie w dobie buntu wójta Alberta. Nie mogąc od połowy września 1304 r. do połowy lipca 1306 r. spodziewać się pomocy z Czech, walczył Muskata do upadłego z Łokietkiem swymi tylko siłami i na swą odpowiedzialność aż go Łokietek tuż przed samą śmiercią Wacława III uwięził. Oczekiwał kontrofensywy Wacława III, prowadził układy między nim, a księciem Mieszkiem cieszyńsko-oświęcimskim, których wynikiem było małżeństwo córki tego księcia, Wioli, z Wacławem, atoli niespodziane zamordowanie Wacława w Ołomuńcu pomieszało zryki i przekreśliło rachuby ambitnego biskupa. Zrozumiał Muskata i jego politykę Adam Kłodziński w odczycie w Pol. Akad. Um. (r. 1936, s. 334—38). Z nie lada wrogiem miał więc Łokietek — ksiązę zawsze ubogi, wygnaniec i na dorobku — do czynienia, wrogiem wewnętrznym, ale mającym oparcie w niemieckim mieszczaństwie, niemieckich swych kanonikach i niemieckich zakonach, biskupem w naszej hierarchii episkopalnej idącym zaraz na pierwszym miejscu po arcybiskupie gnieźnieńskim, biskupem rozporządzającym nie tylko zamkami silnie obwarowanymi i wojskiem, lecz groźniejszą jeszcze bronią kościelną. I wtedy w najbardziej krytycznym momencie pośpieszył Łokietkowi z pomocą arcybiskup. Była to pomoc wprost bezcenna, przeżyła też szalę tak na polu kościelnym w diecezji krakowskiej, jak politycznym w krakowskim i sandomierskim księstwie. A Łokietek bardzo potrzebował pomocy, on i pognębiony naród polski, którego był przedstawicielem. Zgroza zbiera pomysłać, coby było, gdyby nie zwyciężył Łokietek, ale Muskata. Grał Muskata o wielką stawkę, a grał nie jeden raz i nie na jednym miejscu. Rolę mu się może prymasostwo Węgier, bliskim był faktycznie rejencyjnych rządów w Polsce z czeskiego ramienia, ale w niemieckim interesie. Ponośiła go nieokielznana ambicja, chęć wyniesienia się i żądza władzy aż do zapomnienia o swym kapłańskim powołaniu i biskupim urzędzie. Grał i przegrał. Z kolei został sam wygnanelem, a niedawny tułacz Łokietek rządził z Krakowa Polską, rozgromiwszy zbuntowany żywioł niemiecki. Nie naszą rzeczą jest wywodzić żale nad losem Muskaty. Spotkał go los zasłużony, a sąd potomności, czyli sąd historyków, może być o nim tylko jeden — taki jak dawniej, nie taki zaś jak u ks. Karasiewicza, złagodzony i wybielający tę ciemną postać.

Rozwiedliśmy się nad sprawą Muskaty nazbyt długo, ale niech usprawiedliwi nas niepoślednia waga tej sprawy na zawrocie dziejów naszej historii z końca XIII i na początku XIV wieku. Inne moje kontrowersje z ks. Karasiewiczem zbędę już niewiele słowami. Zarzuca mi mój recenzent, jakoby „bagatelizował” wielki kościelno-polityczny spór na Śląsku między Henrykiem IV, a biskupem wrocławskim Tomaszem II, podczas gdy poprzednio przyznawałem temu sporowi należytą rolę i ważność. Niegodna to szacunku i niepoważna metoda wrywać po-

szczególne zdania, czy słowa autora z całości i z naturalnego związku, w którym mają swoje miejsce i swój sens właściwy. Niepotrzebnie się chyba tłumaczę, bo moje książki wytłumaczyły to już wszystkim nieuprzedzonym czytelnikom, że śląski spór uważam za ogromnie doniosły tak pod względem faktycznym, jak i ideowym. Jeśli użył wyrażenia, że pod koniec, po kilku latach trwania stał on się jałowym, to wcale nie po to, by pomniejszyć jego znaczenie, czyli „bagatelizować” go według określenia ks. Karasiewicza, lecz dlatego, że każdy przewlekły spór traci w końcu na sile i musi zmierzać do jakiegoś zakończenia. Co miał ostatecznie zrobić biskup wyzuty z władzy, stolicy i majątku, gdy kłątwy i interdykty nie odnosiły skutku — gdy nawet miły ks. Karasiewiczowi Muskata opuścił biskupa i przeniósł się do obozu księcia zbierając za to niemałe materialne korzyści — cóż miał zrobić ksiązę z biskupem obłączonym, a niebawem jeńcem? Konieczność kompromisu rysowała się sama przez się. Słowo „jałowość” odnosi się do tego ostatniego okresu sporu i wcale nie ma tego znaczenia, jakie, fałszując sens, nadaje mu ks. Karasiewicz. To nie kłótnia o słowa, tylko o prawdę, tej zaś nie hołduje mój recenzent. W świecie naukowym obowiązują bądź co bądź pewne zasady.

Na koniec kwestia trw. I Koalicji, czyli związku 4 ksiąząt pod egidą Jakuba Świnki dla uregulowania wzajemnej sukcesji z celem zjednoczenia jak największego obszaru Polski. Pierwsza Koalicja nie jest potwierdzona wprost jakimś źródłem. Jest ona konstrukcją uczonych, lecz bardzo umiejętną i nadającą się do przyjęcia. Jest to więc hipoteza, ale hipoteza hipotezie nierówna, ta zaś ma wiele argumentów za sobą, mniej i mniej ważnych przeciw sobie. Za nią opowiadali się: A. Semkowicz, Balzer, Grodeccki, Dąbrowski, Zachorowski, Wojciechowski, Długopolski i Kozłowska-Budkowa, — przeciw Baszkiewicz, zaś w recenzjach w krótkości p. Kürbelsówna i Labuda, wreszcie ks. Karasiewicz, który uważa, że ja „niepotrzebnie kruszę kopię w jej obronie”. Przy tej okazji przemilcza długi szereg nazwisk nie byle jakich uczonych, co tę hipotezę stworzyli, lub przyjęli, a wymienia tych tylko, którzy ją zwalczają. Rzecz nie jest jednak przesądzona, tylko jest sporna, a ja nie jestem wcale odosobniony, lecz znajduję się w dobrym towarzystwie.

Obawia się ks. Karasiewicz, by moja książka nie dostała się w ręce młodzieży, bo mogłaby wypaczyć jej wiedzę o tej ważnej dobie naszych dziejów. Sąd to tak skrajnie subiektywny i złośliwością zaprawny, że nie widzę potrzeby do zwalczania go. Nie pisałem z myślą o młodzieży, lecz o ogóle inteligentnym i interesującym się historią. Takich ludzi u nas nie brak i uważam, że tacy, a wraz z nimi i młodzież mogą odnieść z tej lektury rzetelną korzyść. Że zaś różni się w niejednym z ks. Karasiewiczem, to wartości i celowości mej pracy nie obniża. Sąd zostawmy innym, bardziej bezstronnym krytykom.

Krytyka — to rzecz niełatwa i zazwyczaj subiektywizmem zaprawna. Skrajnym w sądeniu bywał Bobrzyński, mimo to zaś zasłużył sobie na miano wielkiego historyka. Balzer w jednym ze swych przemówień rzucił na forum historyków po słowach „kochajmy się” hasło „spierajmy się”. Przy szerszym wykształceniu, tak pożytecznym dla historyka poza źródłami i zawodową literaturą, znalazłby ks. Karasiewicz co o sztuce krytykowania pisali St. Witkiewicz, I. Matuszewski, ostatnio zaś bardzo subiektywny, ale utalentowany publicysta Cat-Mackiewicz. Uchroniłoby go to od zapatrzenia się w siebie i swe osiągnięcia, mnie zaś od jego niesprawiedliwych zarzutów.

IV

Moja praca o Jakubie Świnie nie miała na celu polemiki z wywodami i wynikami ks. Karasiewicza, tym bardziej nie była recenzją jego pracy. Recenzję napisała z właściwą sobie gruntownością i szerokim na rzecz wejściem p. Zofia Kozłowska-Budkowa, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego („Roczniki Historyczne”, t. XIX, r. 1952 s. 231 n). Pozwolę sobie przytoczyć niektóre z jej sądów dlatego właśnie, że nie zgadzają się one z „nowościami” ks. Karasiewicza, natomiast najzupełniej pokrywają się z moimi poglądami. Nawiasem dodam, że recenzji tej nie znałem, pisząc swą pracę o Świnie — obie zatem: recenzja p. Budkovej i praca moja są od siebie niezależne, obie również stoją na stanowisku dawniejszej literatury przedmiotu, której ks. Karasiewicz nie docenia.

A więc „sprawa Muskaty” jest przegrana w nauce tak, jak była przegrana w swej epoce. Stwierdza kompetentna recenzentka, że „Muskata to nie tyle biskup, ile czeski agent. Nie da się zaprzeczyć, że Świnka używał środków kościelnych dla celu politycznego, jakim było zjednoczenie Królestwa Polskiego, ale cel ten szedł po linii polityki papieskiej, pokrywał się z materialnymi interesami Kamery apostolskiej, Kościoła polskiego i całego polskiego kleru”. Daremnie szukalibyśmy podobnej, a jak potrzebnej oceny w pracy ks. Karasiewicza. Dopiero w swojej recenzji z mojej pracy zmuszony on był wyznać, iż „nikt nie zaprzeczy, że Muskata był wrogiem Łokietka i narodu polskiego”.

Nie jest też wcale po myśli ks. Karasiewicza przesądzona sprawa I Koalicji, oraz pozostającego z tym w pośrednim związku stosunku arcybiskupa do Henryka IV i jego sporu z biskupem wrocławskim Tomaszem II. Znowu oddajemy głos recenzentce. „Argumenty autora przeciw tzw. I Koalicji i jej twórcy Balzerowi nie są przekonujące. W szczególności cytaty dokumentów, że Przemysł II nie przeszkadzał Łokietkowi w zdobywaniu Krakowa dowodzą czegoś wprost przeciwnego. Przemysł wsparł zbrojnie Henryka IV. Świnie, który był na pół Ślążakiem, Śląsk nie był obojętny. Nie mógł chyba myśleć o zjednocze-

niu Polski bez tej przodującej, najbogatszej dzielnicy. A droga do tego prowadziła przez związanie książąt śląskich, zwłaszcza zaś wybitnej indywidualności Henryka IV z Krakowem i Gnieznem i budzenie w nich świadomości narodowej. Szczegółowe rozpatrzenie — przez ks. Karasiewicza — przebiegu sporu Tomasza II z Henrykiem IV koryguje szczegóły, nie obala jednak tezy Balzera, że Świnka chciał pozyskać i wciągnąć Henryka w orbitę swych planów. Nie można wymazać z dokumentów skarg Tomasza na obojętność, czy niechęć metropolity”. Jak wobec tego wygląda jedna z głównych tez ks. Karasiewicza, że w śląskim sporze arcybiskup stał zawsze po stronie biskupa Tomasza, a przeciw księciu Henrykowi? Henryka IV Prawego najwidoczniej ks. Karasiewicz nie docenia — to jeden z jego arcsubiektywnych poglądów, pozostających w niezgodzie tak ze źródłami, jak z literaturą przedmiotu. Inny subiektywizm, znowu poza źródłami, a przeciw naukowej literaturze — to zaprzeczenie przez ks. Karasiewicza, jakoby Henryk z Wierzbna, choć pochodzący z polskiego, rycerskiego rodu, był człowiekiem zniemczonym i służył ze wszystkich sił sprawie czesko-niemieckiej w swojej diecezji i poza nią. Pomylił się co do jego osoby ks. Karasiewicz tak samo zresztą, jak w tamtej epoce pomylił się arcybiskup Jakub, oddając pod jego sąd polubowny swą sprawę z Muskata. Czyimże dziełem, jeśli nie biskupa Henryka było stworzenie w kapitule wrocławskiej przewagi niemieckich kanoników, czego już — niestety — jego następca Nanker nie mógł odrobić? Ale Henryk z Wierzbna, ten najwierniejszy przyjaciel, poplecznik i w potrzebie opiekun Muskaty musiał być usprawiedliwiony, by z kolei sprawiedliwym wydał się jego wyrok. Nie zmienił to jednak osobliwej wymowy źródła, a w większym jeszcze stopniu ówczesnej sytuacji, tak krytycznej dla odradzającego się państwa polskiego. Dwaj biskupi na dwu najbardziej zagrożonych stolicach: krakowskiej i wrocławskiej znaleźli się w jednym obozie politycznym, antypolskim państwowo i narodowo. Ich pospolu fatalnej roli ks. Karasiewicz nie uwzględnił, może dlatego, że książka jego grzeszy nadmierną zwięzłością tak, że temat nie mieści się na 125 stronicach. Brak w niej charakterystyki tła i osób działających, brak omówienia polityki papieskiej w tym okresie i roli kardynałów, z którymi tak arcybiskup, jak biskupi: Tomasz II i Jan Muskata utrzymywali stosunki. Nieraz chcąc zrozumieć myśli autora, trzeba sięgnąć do dawniejszej literatury przedmiotu, którą ks. Karasiewicz o tyle tylko cytuje, o ile z nią polemizuje.

Słusznie czyni recenzentka autorowi zarzut, dotyczący jego interpretacji źródeł, które usiłuje do swych koncepcji nagiąć. Oto przykład: „W latach 1298—99 mamy dwa przekazy świadczące o złych stosunkach między episkopatem wielkopolskim, zwłaszcza biskupem poznańskim Andrzejem Zarembą, a Wł. Łokietkiem, mianowicie przywilej kościelny Henryka głogowskiego dla Kościoła polskiego i zapiskę rocznika poznańskiego o kłatwie, rzuconą przez biskupa Zarembę na Łokietka”. Ka-

Karasiewiczowi psują te oczywiste świadectwa koncepcję niezakłóconej harmonii między biskupami a księciem Władysławem, więc je usuwa przez nader oryginalne tłumaczenie. „Przywilej kościański nazywa jednostronną i nieobowiązującą ofertą, w czym trudno się z nim zgodzić, skoro został przyjęty i przechował się w archiwum kapituły gnieźnieńskiej. Pozwala on stwierdzić, że Henryk głogowski dążył do zagarnięcia Wielkopolski wraz z koroną królewską, oraz że biskupi liczyli się poważnie z możliwością powołania tych zamiarów i zawczasu zabezpieczali interesy Kościoła. Sprzyjanie Głogowczykowi, któremu Przemysł II prawdopodobnie za radą arcybiskupa zapisał Wielkopolskę i który część jej już posiadał, nie byłoby niczym dziwnym. Mogło arcybiskupowi założyć na łączności Śląska z Wielkopolską, mógł też się spodziewać, że Głogowczyk łatwiej przeciwstawi się Wacławowi, niż Lokietek. Historyk nie powinien sądzić wypadków roku 1300 z perspektywy roku 1320”. O pomysł ks. Karasiewicza, że autor rocznika się pomylił w dacie i w osobach i że klątwa tyczy się nie Lokietka, tylko synów Henryka głogowskiego nie warto szerzej mówić, bo to wytwór czystej fantazji. Rozprawiłem się z tym zresztą w mojej książce o Jakubie Śwince.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć znowu zdanie uczonej i wytrawnej recenzentki. „Wolno przyznać, że sądy Balzera wydają się lepiej i szerzej uzasadnione. Zadanie raczej przerastało siły początkującego autora. Postać Jakuba Świnki, męża stanu wielkiej miary, mądrego i wytrwałego polityka, inspiratora i wychowawcy dzielnicowych książąt, duchowego ojca odrodzonego Regnum Poloniae zasługuje na to, aby stać się tematem jeszcze szczegółowszych studiów”. Podpisujemy się pod tym zdaniem w zupełności. Wyrażamy tylko zdziwienie, że ks. Karasiewicz, tak wrażliwy na krytykę i tak pełen ufności w swe naukowe osiągnięcia, pozostawił tę recenzję bez odpowiedzi, podczas gdy moja skromna praca, zaliczana przezeń do podrzędnego gatunku popularnego, pobudziła go do gwałtownej repliki. W ocenie Jakuba Świnki nie idę daleko, ani wyżej od p. Kozłowskiej-Budkovej, może więc i ona zasługuje w oczach ks. Karasiewicza na zarzut panegiryzmu i frazeologii? W pierwszym rzędzie wszakże zasługiwałby na ten zarzut Balzer, a po nim Grodecki i Wojciechowski. Est modus in rebus — jest miara i w recenzjach. Recenzja ta nie przekonała ani mnie, ani nikogo z bezstronnych czytelników. Nie obronił ks. Karasiewicz straconej pozycji swoich nowości, nie obronił zwłaszcza Muskaty. Dlatego lepiej jest zostać z Balzerem i Abrahamem i licznym gronem tych historyków, którzy ich sąd podzielają. Lepiej, sprawiedliwiej i bezpieczniej.

Tadeusz Siłnicki

K R O N I K A

Ważniejsze wydarzenia w polskim życiu katolickim

(październik 1958 — marzec 1959)

PRYMAS POLSKI W RZYMIE

Dnia 17-go października 1958 r. wyjechał na konklawe Prymas Polski Ks. Kardynał Stefan Wyszyński. Księdzu Prymasowi towarzyszyli: kapelan ks. prałat dr Władysław Padacz, sekretarz ks. kanonik dr Hieronim Goździewicz i referent ks. dr Stanisław Kotowski.

Na trasie przejazdu do Rzymu Ks. Prymas witany był wszędzie bardzo serdecznie, gdzie chociaż na chwilę zatrzymał się pociąg.

W dniu 19 października Ks. Kardynał przybył do Rzymu witany szczególnie serdecznie przez mieszkańców Wiecznego Miasta.

Dzień 28 października był dniem wyboru Papieża Jana XXIII.

Koronacja nowoobranego Ojca św. Jana XXIII odbyła się w dniu 4 listopada 1958 r.

Na prośbę Ks. Kardynała Wyszyńskiego Ojciec św. przyjął Prymasa Polski na prywatnej audyencji w dniu 14 listopada. W czasie audyencji Ojciec św. mówił o swej życzliwości dla naszego Narodu i udzielił specjalnego błogosławieństwa duchowieństwu i wiernym całej Polski.

W czasie drugiej audyencji, dnia 30 listopada, w której uczestniczyli przedstawiciele Polonii włoskiej, Ks. Prymas złożył Ojcu św. adres hołdowniczy w imieniu wszystkich katolików polskich. Na pamiątkę swej pielgrzymki do Częstochowy przyjął Ojciec św. reprodukowaną fotografię Matki Boskiej Jasnogórskiej z odtworzeniem autografu Mgra Roncalli.

W czasie tej audyencji Ojciec św. ofiarował artystyczną monstrancję dla jasnogórskiego sanktuarium.

Powrót Ks. Prymasa do Polski nastąpił 21 grudnia 1958 r.

NOWI BISKUPI

SUFRAGAN GDAŃSKI

Na prośbę Ks. Bpa Edmunda Nowickiego ordynariusza diecezji gdańskiej Ojciec św. Jan XXIII mianował Ks. dr Lecha Kaczmara sufraganem gdańskim.

Ks. Biskup Lech Kaczmarek urodził się 1909 roku w Poznaniu. W 1929 r. wstąpił do Seminarium Duchownego w Gnieźnie, następnie studiował w rzymskim Gregorianum (1930—38), gdzie uzyskał doktoraty